O Bytomiankach

Bajki Bytomianki,
czyli kobiecy pierwiastek Bytomia

Anna Seemann-Majorek

Kierownictwo projektu: Artur Michalski

Projekt okładki: Kasper Michalski

Skład DTP i łamanie: Remigiusz Pękala

Ilustracje kolorowanki: Marta Kuna

Obróbka kolorowanek: Artur Michalski

Druk i oprawa: Drukarnia Cyfrowa Compus
ul. Kopalniana 27; 27-200 Starachowice
ul. Sandomierska 89; 25-324 Kielce

Wydano nakładem Ewangelickiego Stowarzyszenia Kultury.

Badania naukowe: Anna Seemann-Majorek

Copyright: Anna Seemann-Majorek

Zadanie publiczne
jest współfinansowane
ze środków otrzymanych
od Gminy Bytom

SPIS TREŚCI

WSTĘP	5
ADA WOLFSTEIN	9
ANNIE WHISLER	17
EWA DAWCZAK-SCHAEFER	23
EWA URYGA	29
JANINA OMAŃKOWSKA	35
JUSTYNA LISZKOWSKA	41
KARIN STANEK	45
MAGDALENA STICH	51
MARIA KULAWIK	59
MARZENA ROGOZIŃSKA	65

O BYTOMIANKACH – BAJKI BYTOMIANKI, CZYLI KOBIECY PIERWIASTEK BYTOMIA

Urodziłam się i dorastałam w Bytomiu. Choć po maturze wyprowadziłam się na drugi koniec województwa, moje serce zostało tu, w Bytomiu. Nadal czułam się Bytomianką, dziewczyną stąd. Wychowałam się na osiedlu, które stanęło w miejscu dawnych domków fińskich w Szombierkach. Mój tata w latach 70. ubiegłego wieku zatrudnił się w kopalni „Szombierki" i pracował tam aż do jej zamknięcia. Wielu naszych sąsiadów pracowało w tej samej kopalni. Inni pracowali w lokalnej elektrociepłowni, której ogromny zegar regulował dziecięcą aktywność między posiłkami, zabawą i snem. Obserwując wielkie wskazówki, my dzieci z szombierskich bloków, uczyłyśmy się odmierzać czas. Nikt nas jednak nie uprzedził, że czas, raz odmierzony, za szybko staje się historią… Dlatego, kiedy po latach wróciłam w rodzinne strony rozpoczynając pracę w Muzeum Domek Matki Ewy w Miechowicach, poczułam ogromną potrzebę łapania ulatujących historii, notowania opowieści, utrwalania obrazów utkanych ze wspomnień sąsiadów, krewnych oraz dawnych i obecnych, zupełnie obcych mi, mieszkańców Bytomia. Z tej potrzeby zrodziło się wiele inicjatyw mniejszych lub większych, mniej lub bardziej sformalizowanych projektów. Publikacja, którą trzymasz w dłoniach jest efektem jednego z nich; jest konsekwencją długiej drogi do domu i arcyciekawej przygody w głąb mojej małej ojczyzny.

Historia Bytomia jest długa i bardzo złożona. Na kartach publikacji opisujących dzieje miasta odnaleźć można całą paletę interesujących postaci. Jednak w tych przekazach przede wszystkim dominują mężczyźni, ich historie i ich zasługi. Zupełnie tak, jakby historycy chcieli utrwalić obraz miasta zbudowanego męską ręką. Nawet wśród honorowych obywateli miasta do niedawna królowali sami mężczyźni. Gdzie dziewczęta z tamtych lat? – chciałoby się zaśpiewać z nostalgią. Dlatego zdecydowałam się przyjrzeć bliżej żeńskiemu pierwiastkowi Bytomia. W książce znajdziesz więc dziesięć opowieści o dziesięciu kobietach, które połączyło to miasto. Bohaterkami są kobiety mniej lub bardziej znane, autochtonki oraz takie, które Bytomiankami stały się z wyboru, które otwarły swoje serca na to miasto. Ich życiowe drogi są różne: czasem wyboiste, pełne nieoczekiwanych zakrętów, naznaczone stratą albo ciężką pracą, innym razem kipią pasmem sukcesów i spełniających się marzeń. Te opowiadania powstały w ramach stypendium przyznanego mi przez Gminę Bytom na zadanie: „O Bytomiankach – bajki Bytomianki czyli kobiecy pierwiastek Bytomia." Plan stypendialnego projektu zakładał opublikowanie opowiadań w przestrzeni wirtualnej – wszystkie teksty zostały więc zamieszczone do bezpłatnego pobrania i/lub odsłuchania na stronach internetowych Ewangelickiego Stowarzyszenia Kultury (www.estok.org.pl) oraz Fundacji Passart (www.passart.pl) w formie plików tekstowych oraz plików audio, w których opowiadania czytam osobiście (możesz je odsłuchać korzystając z kodów QR znajdujących się przy bajkach). W treści opowiadań oprócz biograficznych wątków bohaterek, uwzględniłam również ważne historyczne wydarzenia w skali światowej oraz zdarzenia, miejsca czy przedmioty związane z Bytomiem. Wśród postaci, którym poświęciłam opowiadania są nauczycielki, prawniczki, artystki, piosenkarki, fotografki, reżyserki, instruktorki, pasjonatki, aktywistki, matki, córki, pisarki, osadzone, zesłane, siłaczki i społeczniczki – kobiety znane z pierwszych stron gazet oraz nierozpoznawalne, żyjące wśród nas ciche bohaterki – po prostu – Bytomianki, kobiety, dzięki którym Bytom staje się lepszym miejscem. Są to (w kolejności alfabetycznej imion): Ada Wolfstein (reżyserka i autorka scenariuszy teatralnych, której żydowskie serce pokochało Bytom i wybrało na swój dom), Annie Whisler (ewangelicka diakonisa, niezłomna i szczerze oddana wszystkim dzieciom w potrzebie; pochodziła z Anglii, w Bytomiu spędziła lwią część swojego życia), Ewa Dawczak-Schaefer (wielka miłośniczka sztuki i wolności, walcząca o słabszych, z zawodu sędzia, początkowo siłą osadzona w Bytomiu, odzyskawszy wolność została), Ewa Uryga (artystka, piosenkarka, urodzona Bytomianka, wyjechała do stolicy), Janina Omańkowska (wielka aktywistka, działaczka społeczna, posłanka na sejm, wypędzona z Beuthen), Justyna Liszkowska (kobieta wielu talentów, niezwykle silna i odważna o bardzo ciepłym i mięciutkim sercu, przynosi z sobą śmiech – po prostu bieszczadzki anioł na bytomskich hałdach), Karin Stanek (znana wszystkim jako Atomowa Kaśka, śpiewała tak, że cały Bytom drżał w posadach, jej czarne spodnie wyznaczyły nową epokę wśród dziewcząt z podwórka, opuściła Bytom, wyemigrowała

z Polski), Magdalena Stich (Bytomianką jest od zawsze, zawodowo szkoli kandydatów na kierowców, robi to perfekcyjnie, a jej samochód czasem zmienia się w specjalny gabinet na kółkach), Maria Kulawik (królowa bytomskich pszczół, żona pszczelarza, inicjatorka wielu pszczelarskich przedsięwzięć i projektów, wybrała Bytom na swój dom), Marzena Rogozińska (nauczycielka, fotografka zamiłowana w astrofotografii, za swoje zdjęcia doceniona i wyróżniona przez NASA, Bytomianką jest od zawsze).

Następnie zrodził się pomysł na kontynuację badań i przygotowanie publikacji papierowej, wzbogaconej o kolorowanki z wizerunkami bohaterek. Dzięki finansowemu wsparciu Gminy Bytom udało się nie tylko przygotować kolorowanki (do wykonania ich projektu zaprosiłam bardzo młodziutką, ale jakże zdolną Bytomiankę – Martę Kunę) i wraz z tekstami wydać w formie książeczki, ale także opracować dwa kobiece biogramy, jako preludium do następnej części bajek o Bytomiankach. Są to: Iwona Świętochowska (matka bytomskiej pediatrii, urodziła się w 1930 roku w Stanisławowie – obecnie Ukraina – skąd po wybuchu II wojny światowej musiała uciekać, nieomal ocierając się o śmierć, przekraczając granice wielu państw i paru kontynentów, pokonała tysiące kilometrów, żeby ostatecznie osiąść w Bytomiu) oraz Rita Dubas (władczyni pędzla i płótna, mistrzyni strzelania z łuku, zawsze odziana w fantazyjne stroje i nakrycia głowy, Bytomianka od urodzenia).

Na koniec pozostaje mi już tylko dodać dwa słowa wyjaśnienia. Bajki opisują prawdziwe życiorysy, dotykają więc różnych, życiowych spraw, a także trudnych momentów. Zachęcam więc, żeby były czytane w konfiguracji międzypokoleniowej, tak aby dorośli mieli możliwość wyjaśniać dzieciom kwestie problematyczne, związane z wydarzeniami historycznymi i bolesnymi. Przez to mam nadzieję, a właściwie liczę na to, że opowiadania będą okazją do spotkania się dwóch odległych mentalnie światów – świata młodych ze światem dorosłych, dojrzałych istot i wyruszenie we wspólną podróż w głąb historii i dziedzictwa jednego z najstarszych górnośląskich miast.

Dobrego czytania i wspaniałej przygody!

Anna Seemann-Majorek

BYTOM

ADA WOLFSTEIN

Ada posiadała wielką moc. Mocą Ady była jej wielka miłość do sztuki i kultury. Ta miłość prowadziła ją przez najciemniejsze doliny i najczarniejsze zakątki, żeby w miejscach, gdzie przebijały się promienie słońca, pozwolić wzrastać i robić rzeczy dobre. Ta miłość dała Adzie ogromną siłę i wytrzymałość.

– Ciociu, kogo dziś poznałaś? – zapytał Zbyszek, mocniej ściskając dłoń niewysokiej brunetki. Adźka, bo tak wszyscy nazywali pannę Adriannę, spojrzała na kilkuletniego chłopca ze wzruszeniem. Zbyszek chodził dopiero do pierwszej klasy, ale doskonalae orientował się w tym, co robi jego ciocia. Adźka była dziennikarką radiową. Spotykała się z ludźmi, rozmawiała, a potem te rozmowy puszczano w radiu. Zbyszek bardzo lubił słuchać audycji, w których ciocia Adźka zadawała obcym różne pytania. Jeszcze nie wszystko rozumiał, ale czuł, kiedy rozmowy są o rzeczach dobrych, poważnych, albo takich, że aż łzy kapią z oczu.

– Zbyszku, dziś byłam w bibliotece i oprócz pani bibliotekarki, którą zresztą znasz osobiście, nikogo nie spotkałam.

– Nie wierzę – odparł mały bystrzak – więc po co byłaś w bibliotece?

– Och, przed Tobą niczego nie można ukryć – roześmiała się Adźka – dobrze, masz trochę racji. Szukałam w bibliotece książek o pewnej kobiecie, która kiedyś mieszkała w naszym mieście.

– I co, znalazłaś? – nie poddawał się Zbyszek.

– Tak, znalazłam dwie książki. Nawet mam je teraz przy sobie. Jedną zaczęłam czytać, gdy czekałam, aż dokończysz obiad na stołówce.

– Opowiesz mi, co w niej było?

– Oczywiście, ale od razu musisz mi wybaczyć, bo sama dopiero poznaję bohaterkę tej książki – odparła Adźka i powoli zaczęła snuć swoją opowieść…

– Gdy zmarł Józef Piłsudski… Wiesz Zbyszku kto to był Piłsudski? Rozmawiałeś o nim niedawno z dziadkiem.

– Tak, ciociu. Dziadek mówił, że Piłsudski był wielkim bohaterem i gdy był w moim wieku – dziadek oczywiście, a nie Piłsudski – to prawie wszyscy koledzy z jego podwórka chcieli bawić się w wojnę, a każdy z nich chciał być Piłsudskim. U nas w szkole wszyscy wiemy, kto to jest. Przecież ulica, obok której jest szkoła, nosi nazwę jego imienia. On walczył o wolną Polskę! – wyrecytował prawie na jednym oddechu Zbyszek.

– Zgadza się Zbyszku, ulica Józefa Piłsudskiego w Bytomiu to jedna z ważniejszych ulic w tym mieście. Ale wróćmy do mojej bohaterki.

Gdy Józef Piłsudski zmarł, Ada (czyli nasza bohaterka) była uczennicą siódmej klasy gimnazjum. Miała siedemnaście lat i za sobą kilka przeprowadzek. Wielki Wódz, pierwszy marszałek Polski, zmarł 12 maja 1935 roku w Warszawie. Ada mieszkała wtedy w Jarosławiu. To niewiele ponad 300 km od Bytomia na wschód i ponad 330 km od Warszawy. Uroczystości pogrzebowe trwały kilka dni. To było wielkie wydarzenie. Ciało Józefa Piłsudzkiego zostało zabalsamowane, tak, jak balsamowano kiedyś faraonów i mumie, a następnie złożone w trumnie zrobionej ze srebra i szkła.

– Czekaj ciociu, trumnę zrobiono ze szkła? Jesteś pewna? Przecież przez szkło wszystko widać! Skoro on nie żyje, to przecież nie będzie sobie oglądał robaków i korzeni w ziemi.

– Zbyszku, Piłsudski nie jest zakopany w ziemi. Tak, przez szkło wszystko widać. Nie chodzi jednak o to, żeby Piłsudski coś oglądał, lecz, żeby jego można było oglądać.

– Fuj! – rzucił krótko Zbyszek, a po chwili dodał z namysłem – ale co ma z tym wspólnego Twoja nowa znajoma?

– Zaraz do tego dojdziemy. 17 maja, po mszy żałobnej i wojskowej defiladzie, trumnę przeniesiono do specjalnego pociągu, który wyruszył z Warszawy do Krakowa. Podróż trwała całą noc. Dziś tę samą drogę przejedziesz w około 2,5h. Ale dzisiaj pociąg bardzo się spieszy, natomiast ten, który wiózł marszałka w jego ostatnią podróż, celowo jechał bardzo wolno. Trumna była specjalnie podświetlona, tak, żeby każdy mógł ją zobaczyć. Na stacjach, które nocą mijał pociąg, czekało mnóstwo ludzi. Niektórzy przyszli z ciekawości, inni z szacunku, a jeszcze inni po prostu chcieli uczestniczyć w tym ważnym wydarzeniu. Na dworcu w Krakowie zgromadziły się tak ogromne tłumy, że sam pogrzeb rozpoczęto z dwugodzinnym opóźnieniem. Ciało Józefa Piłsudskiego spoczęło na Wawelu, odprowadzane przez kilkukilometrowy kondukt. W Polsce ogłoszona była żałoba narodowa. Żegnano Piłsudskiego w całym kraju, w Europie i na świecie. Żegnała go też młodzież z Jarosławia. Żegnała i Ada. W dniu pogrzebu, w eleganckich strojach, Ada i pozostali uczniowie szkół średnich w Jarosławiu stawili się na stadionie, by przez głośniki wysłuchać przebiegu ceremonii z Krakowa. Ada, razem z całą swoją klasą, stała w szeregu w pełnym słońcu kilka godzin. I choć doskwierał im upał, nikt nie mógł odmówić wzięcia udziału w tym wydarzeniu. Była to rekordowo długa audycja radiowa. W naszej rozgłośni, chyba jeszcze nigdy nie nadaliśmy tak długiego programu.

Niecały rok później Ada zdała maturę. Na znak wciąż trwającej żałoby po Piłsudskim wszyscy maturzyści musieli podczas egzaminów mieć na ramieniu specjalną czarną opaskę. Ada również ją miała. Za jakiś czas wybuchnie wojna i Ada znów będzie nosiła na ramieniu opaskę. Ale już nie czarną. Tym razem płócienną z wyhaftowaną gwiazdą Dawida. Takie opaski w czasie wojny musieli nosić Żydzi, żeby każdy wiedział, kim są.

– Tak, wiem ciociu. Opowiadała nam o nich niedawno pani Rutka. Nie chciałbym nosić takiej opaski.

– Jestem pewna, że Ada też nie chciała, ale ponieważ była Żydówką, nie miała wyjścia.

Gdy Ada była jeszcze małą dziewczynką, nie przejmowała się tym, kim jest. Cieszyła się z tego, co ją otacza, cieszyła się, że może się uczyć, spacerować z dziadkiem, tańczyć, czytać, biegać po polach i pływać w Sanie – pięknej, całkiem sporej rzece. Miała koleżanki i miała kolegów. Wszystko zaczęło się zmieniać, kiedy do władzy doszedł bardzo zły człowiek. Dyktował ludziom co mają robić, mówić i jak się zachowywać. Przyjaciółki odsunęły się od Ady. Zaczęły jej unikać, aż w końcu dały jasno do zrozumienia, że już nie należy do grona ich koleżanek.

– Musiało jej być bardzo smutno – wtrącił Zbyszek – I wszystko dlatego, że była Żydówką?

– Tak, Zbyszku. Żydzi pokładali ogromne nadzieje w marszałku Piłsudskim. Uważali go za obrońcę swoich praw, wierzyli, że jego rządy zapewnią im równość i życie wolne od prześladowań. Gdy go zabrakło, nie mieli już złudzeń.

W tym czasie Ada poznała swojego przyszłego męża. Benedykt był od niej o 14 lat starszy, bardzo pięknie mówił po polsku i najważniejsze – też był Żydem. Planował otworzyć swoją kancelarię adwokacką, a gdy to się udało, zatrudnił u siebie Adę. Pracy mieli niewiele, bo czasy były trudne, a konkurencja ogromna. Ada i Benedykt pokochali się wielką, szczerą miłością i na chwilę przed wybuchem wojny wzięli ślub. To była szybka ceremonia, więc Ada nie miała ani bukietu kwiatów, ani białej sukni. Wtedy nie miało to dla niej większego znaczenia.

1 września 1939 roku, gdy na Polskę spadły pierwsze bomby, Ada stała akurat w zakładzie u krawcowej, która szyła dla niej elegancką bluzkę do pracy. To miał być zwykły dzień, jak każdy. Obie kobiety bardzo się wystraszyły. Ponieważ Ada umiała opatrywać rany, gdy zbombardowano dworzec kolejowy postanowiła dostać się tam i sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Na miejscu mężczyzna, który dowodził grupą sanitariuszy, wypytywał Adę, kim jest, a gdy przyznała, że jest Żydówką, natychmiast kazał jej wracać do domu. Ada uznała, że w ten sposób została zwolniona z miłości do ojczyzny. Ta miłość nigdy jednak nie wygasła.

Pierwsze dni wojny spędziła, chowając się przed nalotami. 8 września razem z Benedyktem wyruszyła w pieszą wędrówkę na wschód, gdzie miała tworzyć się armia, do której Benedykt chciał się zaciągnąć. Przeszli wspólnie ponad 120 km, aż trafili do Krystynopola, gdzie Ada spotkała swojego ojca, a wkrótce dołączyła do nich też jej mama. 17 września znów musieli uciekać. Tym razem dotarli do Lwowa. Zawiozła ich tam ostatnia lokomotywa. We Lwowie pozostali kilka miesięcy, wynajmowali wtedy łóżko w kuchni u starego kolejarza. Ada dostała pracę w restauracji, dzięki czemu ani ona, ani jej bliscy nie cierpieli z głodu. Dobre (czyli jeszcze nie najgorsze) chwile minęły i wkrótce Ada razem z mężem znalazła się w transporcie w głąb Związku Radzieckiego. Benedykt, Ada oraz mnóstwo innych Żydów zostało siłą wsadzonych

do wagonów, którymi zwykle transportowano zwierzęta. Wagony nie były przystosowane do przewozu ludzi, nie było w nich miejsc do siedzenia ani toalet, najczęściej były też pozbawione okien. Cała podróż trwała parę tygodni. Warunki były bardzo ciężkie. Brakowało powietrza, jedzenia i picia. Ale najbardziej brakowało najbliższej rodziny, która została we Lwowie. Ada i Benedykt jeszcze nie wiedzieli, że już nigdy nie spotkają swoich bliskich.

Nikt nie miał pojęcia, dokąd jadą i co czeka ich na końcu drogi. Krążyły różne wiadomości. Żadna dobra, każda gorsza od poprzedniej. Ada i Benedykt mieli w sobie dużo optymizmu i nadziei. Skoro ktoś zadaje sobie tyle trudu, żeby zorganizować ich podróż, to chyba są potrzebni. To oznacza, że na miejscu czeka ich życie. „Od chwili wywiezienia ich ze Lwowa stali się skazańcami bez sądu, przestępcami bez winy." Tak naprawdę oni nie zrobili nic złego. To inni, źli ludzie uznali, że wszyscy Żydzi są zagrożeniem, a Ada i Benedykt byli przecież Żydami.

Trafili do miejsca w odległości około 30 metrów od jeziora Nuzhyar w Mari El. Został im przydzielony niewielki pokoik w wieloosobowym baraku. Dostali też bardzo wąską pryczę z siennikiem i współlokatora, Szymka. W tym nieszczęściu mieli też trochę szczęścia – jedna ze ścian ich pokoju stykała się z piecem kuchennym, który później ogrzewał ich zimą. Rosyjskie zimy są naprawdę bardzo mroźne, dlatego piec znaczył dla nich więcej niż skarb. Wokół znajdowało się kilkanaście baraków, a wszystkie razem tworzyły niewielką osadę. To był tak zwany obóz pracy. Razem z Adą i Benedyktem przywieziono tutaj wielu urzędników, kupców i nauczycieli. Zesłano tu nawet dwóch aktorów i śpiewaków. Raczej nikt wcześniej nie pracował fizycznie, a teraz wszyscy musieli brać czynny udział w wyrębie lasu. „W dodatku do miejsca pracy trzeba było iść kilka kilometrów, często przez jakieś mokradła" – wspominała po latach Ada. Wokół rozciągały się dzikie lasy, w których rosły jagody i poziomki. Spędzili tam niespełna rok. W tym czasie okazało się, że zostaną rodzicami.

Pod koniec sierpnia 1941 roku ogłoszono amnestię, która dla Ady i Benedykta oznaczała zwolnienie z obozu pracy. Darowano im resztę kary i zezwolono na wyprowadzkę. Mogli sami wybrać miejscowość, w której zamieszkają. Trafili do, znajdującego się po drugiej stronie rzeki Wołgi, Jurina Maryjskiego, niewielkiego miasteczka, oddalonego od obozu o jakieś 100 km. W Jurinie był szpital, w którym w październiku 1941 roku na świat przyszła Eloe – córka Ady i Benedykta. Ada była bardzo szczęśliwa, gdy została mamą. Ale była też przerażona. Nie miała niczego dla noworodka, żadnych ubranek, pieluszek, wózka...

Dni mijały, Eloe rosła, a Ada i Benedykt codziennie toczyli walkę o przetrwanie. Brakowało im wszystkiego, a przede wszystkim jedzenia. Cieszyli się jednak, że wciąż żyją i że mają siebie. Wkrótce zaczęły dochodzić do nich różne przykre informacje. Nadzieje na szybki koniec wojny rozpłynęły się. Ponownie spakowali swoje rzeczy i przeprowadzili się do innej miejscowości, dużo bliżej Uralu, gdzie Benedykt znalazł

pracę. Poznali tam ludzi, którzy tak jak oni zostali kiedyś zmuszeni do opuszczenia swoich rodzinnych domów i najbliższych, wielu z nich było Polakami. Wspólne pochodzenie i trudy tułaczki budowały solidarność i wzajemne wsparcie.

Kiedy w styczniu 1945 roku Armia Czerwona wkroczyła na Górny Śląsk, Benedykt – za namową sąsiada – postanowił zaciągnąć się do wojska. Kilku mężczyzn wraz z nim ruszyło na zachód. Benedykt jechał w rejony ogarnięte wojną, a Ada razem z maleńką Eloe zostały w ich niewielkim domu zupełnie same.

– Ada pewnie bardzo się bała, ciociu? – zapytał, z wyraźnie słyszalną troską, Zbyszek.

– Tak, była przerażona. Ale była też bardzo silną kobietą. Ada codziennie opowiadała Eloe różne opowiastki, śpiewała piosenki, które pamiętała ze swojego dzieciństwa. W końcu udało jej się nawet ze starych szmatek uszyć dla Eloe zabawkę. Jedyną. Którą później zgubiły.

– Czy Benedykt, Ada i Eloe jeszcze kiedyś się spotkali?

– To jest niezwykłe. Wyobraź sobie, że Benedykt nie został przyjęty do armii. Kiedyś, przed wojną, przeszedł poważną operację i lekarz na komisji wojskowej uznał, że nie powinien walczyć. Benedykt ruszył więc w dalszą podróż, szukając dla siebie dobrego miejsca. Tak dotarł do Bytomia. Dostał mieszkanie i otworzył kancelarię. Znów mógł pracować jako adwokat. Wojna się skończyła. Benedyktowi dobrze się wiodło. Był jednak samotny. Kogoś mu bardzo brakowało.

– A co z Adą i Eloe, ciociu? Co się z nimi stało?

– Benedykt pisał do Ady listy, Ada pisała do Benedykta. Wysyłał jej paczki i liczył, że w końcu się spotkają.

– Skoro wojna się skończyła, Ada nie mogła przyjechać do niego?

– Mogła. Chyba o niczym innym wtedy bardziej nie marzyła. Musisz jednak wiedzieć, że Czeboksary, miejscowość, z której wyjechał Benedykt, a w której zostały Ada i Eloe, leży bardzo daleko Górnego Śląska. To ponad 2200 km stąd. Gdybyś chciał tam dojechać samochodem, musiałbyś jechać bez przerwy cały dzień i całą noc. To naprawdę bardzo daleko. Ada była sama z maleńkim dzieckiem. Eloe miała wtedy mniej lat niż ty teraz. Nie miały samochodu, więc podróż byłaby bardzo długa i skomplikowana, a przede wszystkim bardzo niebezpieczna.

– Ciociu, tak sobie teraz myślę. Na początku powiedziałaś, że szukałaś książek o kobiecie, która mieszkała w naszym mieście. Czyli Ada musiała jednak jakoś tu dotrzeć, prawda?

– Zgadza się. Na początku 1946 roku, kiedy w Związku Radzieckim szalała jeszcze głęboka zima, Ada podjęła trudną decyzję. Sprzedała wszystko, co miała, a było tego naprawdę niewiele, ubrała Eloe w najcieplejsze rzeczy i ruszyła w drogę. Jej podróż trwała kilka tygodni. Musiała przeprawiać się łodzią, jechać pociągiem, iść pieszo, ciągnąć sanie, a czasem ukrywać się. Rzadko miała okazję coś zjeść, o ciepłym napoju nawet nie marzyła. Po drodze została zmuszona nawet do sprzedania swojego płaszcza.

Wreszcie, po wielu trudach, bardzo zmęczona, brudna i obdarta, stanęła pod drzwiami mieszkania Benedykta. Stało się to w marcu 1946 roku. Eloe ściskała dłoń mamy w ogromnym stresie. Zdążyła już zapomnieć, kim jest i jak wygląda tata. Jej tata.

– I co było dalej, ciociu?

– Drzwi otworzyła jej obca kobieta.

– Jak to? A Benedykt?

– A Benedykt, drogi Zbyszku, był wtedy w pracy, w swojej kancelarii. Pani, która otworzyła drzwi, okazała się jego gospodynią. Ada nie miała pojęcia, że w Bytomiu czeka na nią życie w luksusowej kamienicy, że będzie miała również pomoc. Była wszystkim bardzo zaskoczona, oszołomiona i onieśmielona. Gospodyni, pani Preiss, natychmiast posłała kogoś po Benedykta.

– Och ciociu, to musiał być ogromnie szczęśliwy dzień dla nich.

– Tak. Tylko mała Eloe nie do końca rozumiała tę radość. Nie chciała nawet skosztować słodyczy, które tata dla niej przygotował. Musiało minąć trochę czasu, zanim przyzwyczaiła się do zmian i na nowo pokochała swojego tatę. Czekało tu na nią zupełnie inne życie niż w Związku Radzieckim. Poszła do przedszkola, później do szkoły. Poznała wiele koleżanek i kolegów. Grała w teatrzykach, śpiewała piosenki, tańczyła, chadzała do opery i na koncerty. A gdy tylko miała okazję, zakładała kolorowe stroje. Im bardziej kolorowo, tym lepiej. Bardzo często grywała w widowiskach, które reżyserowała jej mama. Ada zajęła się w Bytomiu prowadzeniem grup teatralnych. Pisała scenariusze, a potem sama wszystko reżyserowała. Wyjeżdżała ze spektaklami na różne przeglądy i wygrywała nagrody. Poznała w Bytomiu i okolicy innych Żydów, którzy cudem przeżyli wojnę. Wspólnie organizowali różne wydarzenia, o których w Bytomiu było głośno. Jednocześnie pomagała Benedyktowi w kancelarii, a gdy on przeszedł na emeryturę, zaczął pomagać Adzie w jej teatralnych przedsięwzięciach. W międzyczasie wielu ich wspólnych znajomych wyjechało z Bytomia i opuściło Polskę na zawsze. Choć wojna się skończyła, znów znaleźli się ludzie, którzy zaczęli prześladować Żydów. Ada i Benedykt także wielokrotnie zastanawiali się, czy spakować walizki i wyjechać. Przeprowadzali się w swoim życiu tak wiele razy i tak wiele razy tracili swoje rzeczy, uciekali... Kochali Polskę i tu był ich dom. Eloe dorosła, wyjechała z Bytomia na studia, później do pracy. Aż ostatecznie osiadła w Stanach Zjednoczonych. Zamieszkała w Nowym Jorku. Wyszła za mąż.

Adzie i Benedyktowi trudno było pogodzić się z tą rozłąką. Każdego roku wyjeżdżali na egzotyczne wakacje, gdzie spotykali się z córką i jej mężem. Ada uwielbiała te wyjazdy. Oczywiście przede wszystkim dlatego, że znów miała przy sobie swoją ukochaną córeczkę, ale też z tego powodu, że zawsze poznawała coś nowego, odwiedzała miejsca, o których dawniej tylko czytała.

Minęło ponad 35 lat, od kiedy Ada wysiadła z pociągu na dworcu w Bytomiu, gdy w grudniu 1981 roku wybuchł stan wojenny. Ada i Benedykt byli przerażeni. Wróciły wszystkie wspomnienia z okresu wojny. Teraz jeszcze trudniej było im kontaktować

się z Eloe. Parę miesięcy później przyjaciele zaprosili ich do siebie do Szwecji, by mogli spotkać się z córką. To miał być krótki wyjazd w odwiedziny. Nie wrócili jednak do Polski. A ponieważ nie mieli w planach całkowitej emigracji, w Polsce pozostał ich dobytek, wszystkie pamiątki, kilka ostatnich listów od rodziców, dokumenty, zdjęcia, pieniądze, ubrania, meble… Nigdy niczego nie odzyskali. Kolejny raz stracili wszystko oprócz siebie i tego, co mieli w sercach.

– I co było dalej, ciociu?

– Musieli od nowa zbudować swój dom. Ale to już opowieść na inne spotkanie. Zobacz, dotarliśmy do ul. Pułaskiego 4. W tej willi Ada mieszkała z Benedyktem, zanim wyjechali do Szwecji.

ANNIE WHISLER

Annie posiadała wielką moc. Miała ogromne serce przepełnione miłością i troską o skrzywdzone dzieci. Była silna, zdeterminowana i pełna wiary, dlatego w najtrudniejszych chwilach potrafiła przenosić góry.

Annie urodziła się w 1870 roku w Canonbury, na przedmieściach Londynu. Dom Państwa Whislerów znajdował się przy ulicy Świętego Pawła, wzdłuż której ciągnęła się szeregowa zabudowa jednakowych, dwupiętrowych budynków. Do każdego z nich prowadziły kilkustopniowe, kamienne schodki i wąskie, ale dość ciężkie, drewniane drzwi. W ciepłe letnie wieczory, gdy akurat nie padał deszcz, przyjemnie było móc przysiąść na tych schodach i obserwować ulicę. Annie była wnikliwą obserwatorką. Jej spostrzegawcze oczy potrafiły od razu wychwycić najdrobniejsze zmiany w otoczeniu czy w spojrzeniu ludzi. Nieraz w dorosłym życiu ten dar pomógł Annie zapobiec prawdziwej katastrofie.

Gdy dzień chylił się ku końcowi, całe Canonbury leniwie przygotowywało się do snu. Do mieszkańców dochodziły dźwięki z zawsze gwarnego i nigdy nieśpiącego, dalekiego centrum Londynu. Tu natomiast, na ulicy Świętego Pawła, życie toczyło się innym rytmem. Noce w Canonbury bywały naprawdę ciemne, szczególnie, gdy granatowe niebo spowijały gęste, deszczowe chmury. Za dnia natomiast, przedmieścia Londynu zamieniały się w prawdziwe centra handlowe. Mężczyźni otwierali swoje biznesy, a chłopcy biegali z naręczem gazet, krzycząc i namawiając przechodniów do lektury. Z kolei kobiety ubrane w długie, kolorowe i strojne suknie oraz eleganckie kapelusze, odwiedzały niewielkie sklepiki. Nierzadko towarzyszyły im dzieci. Ojciec Annie handlował wełną, a starszy brat herbatą. Z całą pewnością, nieraz przyszło więc Whislerom obserwować zaaferowane zakupami najmłodsze pokolenie londyńczyków. Może i Annie odwiedzała sklepiki, robiąc zakupy na prośbę swojej mamy? Pewnie zastanawiasz się, jakim dzieckiem mogła być? Jaka była, zanim dorosła? Przez swą skromność i umiłowanie do prostoty, Annie nie pozostawiła po sobie pamiętników, ani żadnych zapisanych wspomnień. Koncentrowała się na tym, co uważała za ważne i słuszne. Na kartkach pocztowych umieszczała relacje z podróży, a w listach do przyjaciół chwaliła Boga. Annie bardzo Go kochała i czuła, że jej błogosławił.

Kiedy Annie dorosła, postanowiła swoje życie ofiarować Bogu i służyć biednym, samotnym i chorym ludziom. Została więc diakonisą. Piękne, kolorowe sukienki z bufiastymi rękawami zamieniła na długą do kostek, prostą i czarną szatę. Jedyną jej ozdobą

był biały kołnierzyk zapinany pod szyją i tego samego koloru czepiec, upięty na głowie. Czepiec przypominał niewielki welonik, dlatego niektórym mogło się wydawać, że Annie właśnie wyszła za mąż. Ale Annie chciała być wierną tylko Bogu. Zamiast w podróż poślubną, wybrała się w długą drogę na kontynent. Opuściła Anglię i zamieszkała na Górnym Śląsku w małej wsi pod Bytomiem. Odtąd jej domem były Miechowice, a najbliższą rodziną podopieczni i inne diakonisy służące w tutejszym centrum pomocy – w Ostoi Pokoju. Jeśli popatrzysz na zdjęcie Annie, zobaczysz w jej oczach niezwykłą siłę i spokój. To bardzo ważne. Kiedy fotograf robił ten portret, Annie jeszcze nie wiedziała, jak trudne zadanie ją czeka.

Annie całkowicie poświęciła się służbie Bogu i ludziom. Była dużym wsparciem dla wszystkich, których spotykała na swej drodze. Gdy założycielka Ostoi Pokoju zmarła, Annie na kilka lat przejęła jej obowiązki i kierowała całym ośrodkiem. Nie było to łatwe zajęcie. Miała wtedy już sześćdziesiąt lat.

Pewnego czerwcowego dnia 1934 roku do miechowickiego sierocińca, którym od czterech lat kierowała Annie, przyszła młoda kobieta. Na rękach trzymała niemowlę. Takich sytuacji, od kiedy Annie przybyła do Miechowic, zdarzyło się bardzo dużo. To znaczy, że do sierocińca trafiło naprawdę wiele dzieci. Choć Annie kochała dzieci, to pojawienie się kolejnego, zawsze sprawiało jej ogromny ból. Za każdym dzieckiem kryła się jakaś tragedia. Dzieci powinny wychowywać się w bezpiecznych i kochających rodzinach, a nie w placówkach. Powinny mieć rodziców, bliskich, swoje łóżeczko. Powinny być kochane i chciane. Annie głęboko w to wierzyła, dlatego razem z innymi współpracownicami i diakonisami robiła wszystko, aby każde przyjęte dziecko czuło się u nich jak w domu, jak w kochającej rodzinie. Nie inaczej było z maleńkim Maksem, którego tego dnia przyniosła młodziutka mama. Od dłuższego czasu atmosfera w kraju i na świecie była napięta. Władzę objął człowiek, który namawiał innych do nienawiści. Kto za nim poszedł, kto mu zaufał, robił rzeczy straszne. Młoda kobieta nie zdradziła, dlaczego oddaje swojego maleńkiego, kilkutygodniowego synka. Annie i siostry mogły się tylko domyślać, ponieważ kobieta była Żydówką, a człowiek, który miał władzę, chciał zgładzić wszystkich Żydów. Maks nie mógł być więc dzieckiem niechcianym czy porzuconym z powodów, którym można było zaradzić – powtarzały diakonisy – Maks musiał być dzieckiem kochanym wielką, szczerą miłością i z tej miłości oddany. Czasami dorośli są zmuszeni podejmować bardzo trudne decyzje – decyzje, których nigdy nie chcieliby podjąć... W krótkim czasie razem z Maksem w miechowickiej Ostoi Pokoju zamieszkało kilkoro innych dzieci z okolicznych żydowskich rodzin. Wszystkie dzieci zostały otoczone szczególną troską i opieką. Diakonisy musiały być bardzo czujne, ostrożne i pomysłowe. Dlatego zdarzało się, gdy do ośrodka wchodził ktoś obcy, dzieci musiały się chować albo przebierać i udawać kogoś innego. Jeden niewłaściwy drobny ruch mógł sprowadzić nieszczęście na cały ośrodek. Na jednym ze starych zdjęć, maleńki Maks przebrany jest za dziewczynkę. Radośnie bawi się z innymi dziećmi. Czy tego dnia w ośrodku

była jakaś kontrola? Czy znów szukano żydowskich dzieci? A może to tylko zwyczajna zabawa…?

W 1938 roku w listopadową noc źli ludzie spalili w Bytomiu synagogę – żydowską świątynię. Zniszczyli dziesiątki żydowskich sklepików i aresztowali wielu Żydów. Nie inaczej było w innych miastach. Wydarzenia tej nocy nazwano Nocą Kryształową. Wszędzie było mnóstwo szkła z porozbijanych witryn sklepowych, powybijanych okien świątyń i poniszczonych żydowskich mieszkań. Wszyscy byli przerażeni. Po tym zdarzeniu została zorganizowana wielka akcja ratowania żydowskich dzieci. Przez kolejne dziewięć miesięcy z kilku europejskich zakątków chłopcy i dziewczynki żydowskiego pochodzenia wyruszali w długą podróż do Anglii. Część z nich była zbyt mała, żeby rozumieć sytuację i by zapamiętać swoich najbliższych. Inni natomiast, nie byli już na tyle mali, by nie wiedzieć, że jest to podróż w jedną stronę, bez powrotnego biletu. Podróż ratująca życie – tylko ich życie. W krótkim czasie większość dzieci straciła swoich rodziców i większość krewnych. Pożegnania przed podróżą były więc pożegnaniami na zawsze.

Diakonisy w Miechowicach od dłuższego czasu rozmawiały o tym, co zrobić. Zastanawiały się, jaką podjąć decyzję. Żydowskie dzieci, powierzone im w opiekę, już raz przecież przeżyły dramat rozstania. Czy można narażać je kolejny raz na rozłąkę i podróż w nieznane? Jak to zniosą? Jednocześnie diakonisy martwiły się o pozostałe dzieci przebywające w Ostoi Pokoju. Gdyby wydało się, kto tutaj mieszka, wszystkim groziło ogromne niebezpieczeństwo. Ostatecznie ustalono, że wyjazd dziecięcym transportem (Kindertransport) do Anglii będzie najlepszym wyjściem – ocali żydowskie dzieci i ochroni pozostałe.

Diakonisy przygotowały dla każdego dziecka niewielki pakunek z osobistymi rzeczami – najczęściej były to tylko dokumenty i kilka pamiątkowych zdjęć z Miechowic. Annie zabrała prowiant na drogę i kilka swoich najpotrzebniejszych rzeczy. Reszta została w Miechowicach. Później diakonisy zapakują wszystko do skrzynki i ukryją głęboko na stryszku w drewnianym domku – domku nazywanym Domkiem Matki Ewy. Maks także otrzymał pakiet swoich dokumentów i fotografii. Będą to jego jedyne pamiątki z przeszłości – jedyne łączące go z Bytomiem namacalne ślady.

Annie i dzieci musiały przedostać się do Berlina, stamtąd miały wyruszyć w dalszą podróż, której celem była Anglia. W tamtych czasach z bytomskiego dworca odjeżdżał pociąg bezpośrednio do Berlina. Jazda trwała niecałe cztery i pół godziny. Latający Ślązak poruszał się naprawdę szybko. Mały Maks jeszcze nie wiedział, że – dzięki staraniom Annie i pozostałych diakonis – nie tylko załapał się na jedno z ostatnich miejsc w transporcie do Anglii, ale także na jedną z ostatnich tras Latającego Ślązaka. Pociąg skończył swoją kolejową przygodę 21 sierpnia 1939 roku, czyli tuż przed wybuchem II wojny światowej. Annie i dzieci dotarły do Anglii również na chwilę przed wybuchem wojny. Wyjeżdżając z Ostoi Pokoju Maks dokładnie zapamiętał wszystkie budynki. Zapamiętał też ogromny komin i szyb z kopalni znajdującej się w bliskim

sąsiedztwie. Gdy ponownie tu wróci, będzie miał ponad osiemdziesiąt lat. Przez te lata nie tylko nigdy nie odnajdzie najbliższych, nie będzie mógł z nimi porozmawiać, ale też nigdy nie pozna prawdy – dlaczego mama oddała go diakonisom na wychowanie. Pytania bez odpowiedzi, ogromna pustka, zerwane więzi i poczucie straty będą się mieszać z wdzięcznością za ocalone życie. Jakże trudno jest dorastać, mając za sobą takie doświadczenia!

Jakże trudno jest wybaczyć przeszłości i śmiało, z ufnością patrzeć w przyszłość… „Co czeka Maksa? Czy jeszcze będzie szczęśliwy?” Głowę Annie zaprzątało sporo pytań. Siedząc obok dzieci w rozpędzonym pociągu, cicho modliła się do Boga. Głęboka wiara dodawała jej sił i odwagi. Musi się udać.

I udało się. Wszystkie dzieci, które przywiozła Annie, znalazły schronienie w rodzinach zastępczych i wkrótce zostały adoptowane przez angielskie małżeństwa. Gdy Maks dorósł, ożenił się, a potem doczekał kilkorga dzieci i mnóstwa wnucząt. Jest szczęśliwy. W 2024 roku hucznie świętował swoje dziewięćdziesiąte urodziny. Było przy nim wiele bliskich mu osób.

Annie nigdy nie wróciła do Miechowic. Gdy zmarła 11 stycznia 1965 roku, miała ponad dziewięćdziesiąt cztery lata. Jej grób znajduje się na cmentarzu Ocklynge w Eastbourne. To ponad sześćdziesiąt kilometrów na południe od Londynu, w którym mieszkała, gdy była dzieckiem. Na jej grobie znajdują się słowa:

Mojemu Bogu płomienne serce
Moim bliźnim miłości serce
Mnie – serce ze stali.[1]

1 To my God a heart of flame
To my fellowmen a heart of love
To myself a heart of steel. / Św. Augustyn

EWA DAWCZAK-SCHAEFER

Ewa ma wielką moc.
Jej mocą jest wiara. Wierzy w prawdę, sprawiedliwość i wolność.

Na wiszącym nad łóżkiem, wąziutkim parapecie siedzi młoda dziewczyna. To Ewa. Ponieważ jest bardzo drobna, bez problemu mieści się na tym wąskim kawałku drewna. Ma podkurczone nogi. Brodę opiera na kolanach. Wygląda przez okno. Na co patrzy? Co widzi tam, po drugiej stronie? Ciszę przerywają kobiece głosy. Ktoś rozmawia obok niej, ale wszystko dzieje się jakby setki kilometrów dalej. Czyje to głosy? O czym rozmawiają? Ewa nie ma do tego głowy. Jeszcze nie chce wiedzieć. Zapada ciemność i obrazy wokół zmieniają się.

Teraz Ewa ma jasne, proste włosy do ramion, w uszach kolczyki – niebieskie misie Haribo. Ubrana jest w cienki wełniany sweterek i granatowe dżinsy. Ozdobą są zielona apaszka na szyi i szklana brosza w kształcie drzewa przypięta do swetra. Na nosie spoczywają okulary w grubych fioletowych oprawkach, lekko kanciaste. Od razu widać, że Ewa ma barwną i wrażliwą duszę. Siedzi w bardzo starym, ale wygodnym fotelu. Choć minęło ponad czterdzieści lat… nadal niechętnie przypomina sobie te dni, gdy przesiadywała na wąskim parapecie. Wtedy nosiła ciemne długie warkocze, sięgające do ramion albo wysoko upięty kok. Była bardzo szczupła. Najchętniej chodziła w szerokim, granatowym swetrze od taty i w spodniach, które przerobiła z dżinsów swojego męża. Czasem zakładała spódnicę z dwiema bardzo głębokimi kieszeniami, do których wkładała różne papiery, drobiazgi. To były wyjątkowe kieszenie. Mogła schować w nich cały świat. Wiosną 1982 roku najchętniej sama wskoczyłaby do jednej z nich…

Ewa urodziła się 14 października 1957 roku w Katowicach, w mieście które od paru miesięcy – na szczęście – nie nazywało się już Stalinogrodem. Trudno sobie to wyobrazić, ale przez cztery lata Katowic nie było na mapie Polski, był za to Stalinogród – ku pamięci Józefa Stalina, wielkiego dyktatora i… zbrodniarza. Dzisiaj Ewa mieszka w pięknej, starej willi na bytomskim Kleinfeldzie czyli Małym Polu. To jedno ze starszych, bardzo wytwornych osiedli w centrum Bytomia. Dawniej, przed wojną, w tych domach zamieszkiwali ważni i zasłużeni dla miasta ludzie. I chyba to się nie zmieniło, bo musisz wiedzieć, że Ewa też jest ważną i zasłużoną dla nas kobietą.

Dziś jest na emeryturze. Nie musi już codziennie pracować. Każdego dnia odpoczywając na sofie w salonie, może przez duże narożne okno podziwiać królową Bytomia

– wielką Elektrociepłownię Szombierki, przypominającą z tej perspektywy egipskiego sfinksa. Czy myśli wtedy o kobietach, które przychodziły na wielki plac budowy i w trudnych warunkach pracowały przy wznoszeniu tej majestatycznej budowli? Skończyła się Wielka Wojna, wielu mężczyzn nie wróciło do domów. Ich miejsce musiały zająć kobiety. To były prawdziwe bojowniczki. Tak, jak ona. Gdy Ewa zdała maturę, rozpoczęła studia na Uniwersytecie Śląskim. Wybrała prawo. Chciała pomagać ludziom, walczyć o słabszych i pokrzywdzonych. Po pierwszym roku studiów wyszła za mąż. Rok później w całym kraju na różnych uczelniach rozpoczęły się strajki studenckie. Strajkowali także studenci prawa w Katowicach, a wśród nich strajkowała Ewa. Wszyscy strajkujący pragnęli wolności. To były dziwne czasy. Władza kontrolowała wszystko i wszystkich. Wiele działań było zakazanych. Studenci chcieli móc wyjeżdżać za granicę, chcieli mieć prawo decydować, dłużej się uczyć i krócej służyć w wojsku. Walczyli o uwolnienie więźniów politycznych i o to, by prawda mogła być zawsze na wierzchu. Ewa wierzyła w tę prawdę, wierzyła w wolność. Nie mogła więc nie stanąć na barykadach. Musiała walczyć. Dla siebie, dla swoich kolegów, koleżanek i dla nas. Dla nas wszystkich, którzy urodziliśmy się dużo później.

Kiedy Ewa była studentką, wydział prawa w Katowicach mieścił się przy ul. Bankowej 8, w potężnym, modernistycznym gmachu, do którego prowadziły wysokie schody, zwieńczone dwoma ozdobnymi filarami. Po rozpoczęciu strajków studenci przejęli cały budynek. Utworzyli specjalne przepustki i nie wpuszczali nikogo, kto nie był studentem. Na pierwszym piętrze zorganizowali wielką sypialnię. Rozłożyli tam mnóstwo dmuchanych materaców i ciężkich śpiworów. Ewa pamięta, że sporo młodych dziewcząt przynosiło swoim mężom jedzenie. Nocą grywali w chińczyka, dużo rozmawiali. Wiedziała i czuła, że to, co robią, jest słuszne.

16 lutego 1981 roku razem z mężem obchodziła pierwszą rocznicę ślubu, dlatego dostała przepustkę, żeby swobodnie wyjść z uczelni. Mąż zaprosił Ewę na kolację do restauracji w hotelu Polonia, nieopodal kina Rialto, która słynęła wtedy z bardzo dobrej kuchni. Gośćmi Polonii bywali znani politycy, aktorzy, muzycy. Polonia była legendarnym miejscem. Tyle się wtedy działo, że dziś Ewa zupełnie nie pamięta, co jedli z mężem na kolację i o czym rozmawiali.

Gdy zniechęceni koledzy zaczynali rezygnować ze strajkowania, Ewa wzięła na siebie obowiązek przewodnictwa w protestach. Sprawy trzeba było doprowadzić do końca. Porządek musi być zachowany. Udało się. Ale wszystko to zostało zapisane i jest przechowywane w grubych teczkach. Można byłoby metaforycznie powiedzieć: zapisano je bardzo złym i brzydkim pismem. Wyobraź sobie, ta drobna dziewczyna z włosami upiętymi w kok, w spódnicy z wielkimi kieszeniami… jej działania uznano za groźne dla bezpieczeństwa państwa. Czy Ewa była niebezpieczna?

Minęły wakacje i w końcu nadeszła zima. W drugi weekend grudnia Ewa i jej mąż pojechali do znajomych. Zaplanowali, że przez cały weekend będą grać w karty. Semestr chylił się ku końcowi, chcieli więc odpocząć przed egzaminami. W sobotę

wieczorem przestała działać telewizja. W niedzielę nadal nie udało się włączyć żadnego programu. Okazało się, że tej nocy wprowadzono stan wojenny. Stan wojenny to był taki wyjątkowy czas, kiedy wojsko pilnowało wszystkiego wokół. Na chodnikach ciągle spacerowali uzbrojeni żołnierze, ulicami często przejeżdżały czołgi. Wszyscy obywatele – bez względu na wiek – musieli wieczorami zostawać w domu, nie wolno było przemieszczać się, zamknięto granice, sprawdzano listy, podsłuchiwano rozmowy telefoniczne... Za nawet najdrobniejsze przewinienie można było trafić do więzienia. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku, kiedy ogłoszono w Polsce stan wojenny, wielu z tych, którzy strajkowali kilka miesięcy wcześniej i walczyli o wolność – jak Ewa, złapano i wtrącono do aresztów. Uważano, że wszyscy – na równi z Ewą – zagrażają bezpieczeństwu państwa. Zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. Ewa zastanawiała się, co dzieje się na uczelni. Chciała jak najszybciej tam się znaleźć. Nie pamięta jednak jak wróciła od znajomych i dotarła do Katowic na ul. Bankową. Nie pamięta, kiedy to było dokładnie, ani która była godzina. Na pewno było ciemno. Może była już noc? Do Ewy przyszła Basia, koleżanka. Basia miała złą wiadomość. Powiedziała, że Ewa zostanie internowana czyli przymusowo umieszczona w specjalnym ośrodku, z którego nie będzie mogła wyjść. Brzmi jak więzienie. I w zasadzie internowanie nie różniło się zbyt wiele od uwięzienia. Basia poradziła też Ewie, żeby nie mieszkała teraz w domu. Zaczęło robić się jeszcze bardziej niebezpiecznie…

Dach nad głową znalazła dwie ulice dalej, u innej koleżanki. To była prawdziwa śląska rodzina. Wszyscy godali po śląsku. Nie pamięta, ile czasu tam spędziła. Tak dużo się działo… Któregoś dnia zauważyła, że wejścia do domu, w którym mieszka jej mama pilnują panowie o smutnych twarzach. Udało jej się wtedy przedostać do mamy, wykorzystując tylne wejście budynku, o którym panowie nie wiedzieli. Na ukrywaniu się w ten sposób minęła jej cała zima.

Wiosną 1982 roku dostała wezwanie na milicję, ale nie pojawiła się na komendzie. Widziała jak w tym czasie wyprowadzono w kajdankach z uczelni jej kolegę. Po kilku dniach przyszło drugie wezwanie. Mimo to Ewa pojechała z mężem w góry. W drodze powrotnej, gdy siedzieli w pociągu między wagonami, zdecydowała się powiedzieć mu o wezwaniach. Ewa nie zrobiła nic złego. Walczyła przecież w słusznej sprawie. Dla siebie i dla innych. Nie miała się więc czego bać, a mimo to czuła lęk. Wciąż w głowie słyszała słowa Basi, gdy ta mówiła o internowaniu. Razem z mężem zdecydowali, że następnego dnia Ewa zgłosi się na komendę.

Zaraz z rana udała się do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach, która mieściła się przy ul. Lompy. Potężny, surowy budynek wzbudzał strach. Na wejściu pokazała funkcjonariuszowi wezwanie. Odczekała dłuższą chwilę, aż poproszono ją do środka. Funkcjonariusze zadawali mnóstwo pytań. Większość była zupełnie bez znaczenia. Wypytywali o znajomych z uczelni, obrażali jej kolegów. Na koniec panowie wręczyli jej decyzję o internowaniu. Stało się. Działo się to w poniedziałek, 24 maja 1982 roku. Ewa trafiła do celi. Zamknięto ją z dwiema

kryminalistkami i jedną internowaną koleżanką. Pamięta, że miała na sobie czerwone dżinsowe spodnie i że było bardzo ciepło, a koleżanka pomimo to, ubrana była w kożuszek. Skądinąd bardzo ładny. Założyła go, bo bała się, że zmarznie. Po dwóch lub trzech dniach obie dziewczyny wsadzono do policyjnego transportu. Wóz krążył przez jakiś czas, trudno było wyczuć, w którym kierunku jadą, co mijają po drodze. Nie miały pojęcia co je czeka. W pojeździe nie było okien, w środku było ciemno, dlatego nie mogły nic zobaczyć. Zdawało im się, że podróż trwała całą wieczność. Były przerażone.

Mąż Ewy nie potrafił zdobyć informacji, gdzie została wywieziona.

Ostatecznie Ewa trafiła do Bytomia, do obozu dla internowanych kobiet, który powołano miesiąc wcześniej w ośrodku szkoleniowym jednego z katowickich urzędów. Był to niski, biały budynek ukryty w miechowickim lesie na krańcu miasta. Wokół rozciągał się wysoki płot, pod którym w równych odległościach stali młodzi chłopcy, rówieśnicy Ewy. Chłopcy celowali z broni do osadzonych. „Zatem jednak jest tu jak w więzieniu" – przemknęło Ewie przez myśl. Między budynkiem a płotem był niewielki spacerniak – teren, na który można było wyjść rozprostować kości. Jedynie na kilkanaście minut dziennie. W obozie panowały trudne warunki.

Z Ewą do Miechowic trafiły jeszcze dwie dziewczyny z jej wydziału z uczelni. To że były tam razem, dodawało im otuchy. Bardzo się wspierały. Dziewczęta opowiadały sobie różne życiowe historie. Razem z pozostałymi kobietami starały się podtrzymywać w ośrodku domową atmosferę. Dłużący się czas wypełniały sobie różnymi zadaniami. Robiły na drutach, plotły z chleba różańce, próbowały czytać książki, z gumolitu wyrabiały obozowe pieczątki, które symbolizowały ich opór przeciwko tej sytuacji i działaniom władzy. Dużo rozmawiały. O wszystkim, tylko nie o polityce, żeby odwrócić uwagę. Żartowały, śmiały się, śpiewały. Robiły wszystko, żeby nie myśleć, żeby głowę zająć czymś innym. Bardzo tęskniły za rodzinami, za przyjaciółmi. Dość często do pokojów wpadała funkcjonariuszka Brygida, żeby przeszukać ich rzeczy. Osadzone bawiły się więc z nią w chowanego. Chowały zrobione pieczątki. Niestety, gdy któraś została namierzona przez funkcjonariuszkę, nie było już tak wesoło… Ewie trudno jest wracać pamięcią do tych chwil.

Mąż odwiedził Ewę tylko trzy razy, ojciec raz – nie dostali więcej zgód na widzenie. Wszystkie spotkania były krótkie i zawsze w obecności funkcjonariuszy. Najczęściej do osadzonych przychodził ksiądz Hubert Kowol, proboszcz parafii św. Barbary z Bytomia. Był dla nich dużym oparciem. To dzięki niemu udało się czasem przekazać bliskim jakieś wiadomości.

Któregoś dnia przyszedł do Ewy rzecznik z uczelni. Przyniósł wiadomość o toczącym się postępowaniu dyscyplinarnym i zawieszeniu jej w prawach studenta. Dowiedziała się też, że za swoją działalność może zostać usunięta z uniwersytetu. Marzenia o skończeniu ukochanego kierunku wisiały więc na włosku. Miała być ukarana za to, że walczyła o prawo do wolności – ona, studentka prawa, a wraz z nią kilku innych

studentów i studentek. Na szczęście na uczelni pracowały osoby, które wspierały działania Ewy i jej kolegów. Ostatecznie otrzymała tylko naganę.

Do domu została zwolniona, wraz z pozostałymi kobietami przebywającymi w Miechowicach, trzy miesiące później, 23 lipca 1982 roku. Decyzja o zakończeniu internowania została wydana po interwencji Zarządu Ligii Kobiet – organizacji walczącej o prawa pań.

Po wszystkim chciała zostać sędzią. Odmówiono jej. Musiała ciężko pracować, żeby spełnić swoje marzenie. Wreszcie ukończyła aplikację sędziowską, ale zaocznie. Marzyła o prawie karnym. Znów jej odmówiono. Nie poddała się. Została sędzią wydziału rodzinnego. Była kontrolowana i prześladowana. Nie dała się złamać. Wierzyła w sprawiedliwość. Była silna, więc przetrwała.

W miechowickiej celi lubiła siadać na parapecie okiennym tuż nad swoim łóżkiem. Mieściła się tam, bo była drobna. Robiła wtedy na drutach albo po prostu wyglądała przez okno. Pamięta dźwięki dochodzące z oddali, trąbiące klaksony autobusów i taksówek. Pamięta nieprzyjemny zapach z kuchni i spleśniały chleb. Pamięta, że każdego 13 dnia miesiąca paliły świeczki i śpiewały piosenki, których teksty zapisywała drobnym pismem na serwetkach. „A mury runą, runą, runą i pogrzebią stary świat!” – dało się słyszeć najgłośniej.

Wszystkie pamiątki z tego okresu przechowuje głęboko schowane, jak swoje wspomnienia. Wyjęła je teraz pierwszy raz, żeby opowiedzieć ci tę historię.

EWA URYGA

Ewa ma kilka super mocy, ale jedną wyróżnia się szczególnie. Ewa ma głos jak dzwon, głos, który czaruje, a raz usłyszany, zapada w pamięć na zawsze.

Słońce zaszło już za horyzont. Od – znajdującej się po drugiej stronie ulicy – łąki czuć było przyjemny chłód. To był bardzo upalny dzień, ostatni sierpniowy piątek. Ewunia siedziała na schodach prowadzących do wnętrza bloku, w którym mieszkała z rodzicami. Obok, na skraju trawnika przysiadły dwa osiedlowe koty. Przeciągle wylizywały swoje łapki, jednocześnie każdy z nich kątem oka badawczo przyglądał się dziewczynce. Z kolei Ewunia, jak zawsze podziwiała potężną elektrociepłownię. O tej porze dnia kryła się w półmroku, ale podświetlana tarcza zegara i czerwone światła na trzech kominach nie pozwalały jej całkiem zniknąć. Wielki zegar od zawsze odmierzał małej każdy dzień i wszystko, co robiła. Ewunia lubiła przypominać sobie zimowe wieczory sprzed paru lat, kiedy mama uczyła ją odczytywać z tego wielkiego zegara upływający czas. W następne wakacje była pierwszą wśród swoich koleżanek, która potrafiła bezbłędnie wskazać południe i porę obiadu. Teraz dziewczynka zauważyła, że wskazówki już dawno minęły godzinę 20.00. Robiło się późno.

Tylko raz w tygodniu mogła zostawać na podwórku po zachodzie słońca.

W każdy piątek, gdy tata Ewuni wracał z próby orkiestry, gdzie grywał na trąbce, dziewczynka czekała na niego przed blokiem. Pan Tadeusz podjeżdżał wtedy swoim starym samochodem i parkował tuż pod klatką schodową. Wiedział, że córka na niego czeka, dlatego zanim wyłączył silnik, zawsze mrugał do niej dwa razy światłami reflektorów. To był ich znak, przywitanie, tak samo serdeczne jak przybicie piątki. Jednak tego dnia pan Tadeusz nie mrugnął, choć samochód zatrzymał się już chwilę temu i Ewunia wyraźnie słyszała, kiedy tata wyłączył silnik. Koty leniwie podniosły łebki i rzuciły panu Tadeuszowi pytające spojrzenia. Ewunia stała zdezorientowana, ale i zaciekawiona. Zapomniał? O co chodzi? – zastanawiała się po cichutku. W tym momencie pan Tadeusz wysiadł z pojazdu i energicznym krokiem obszedł samochód. Stanął przed drzwiami pasażera, po czym otworzył je i lekko pochylając się do wnętrza, wyciągnął przed siebie rękę. Dłoń była skierowana wewnętrzną stroną do góry, co oznaczało, że chce komuś pomóc wyjść z auta. Ale komu? Tata nigdy nikogo nie przywoził z próby – mówiła do siebie Ewunia.

Przed dziewczynką powoli rysował się kształt bardzo eleganckiej, szczupłej kobiety. Trudno stwierdzić w jakim była wieku, czy miała tyle samo lat, co mamusia. A może była starsza? Wyprostowana stanęła tyłem do Ewuni i chyba czekała, aż pan

Tadeusz poda jej coś, co zostało w środku samochodu. Rzeczywiście, po chwili Ewunia zobaczyła jak tata podaje kobiecie torebkę. Wszystko działo się, jakby w zwolnionym tempie, przypominając sceny ze starych czarno-białych filmów, które Ewunia i pan Tadeusz mieli w zwyczaju oglądać w każdy niedzielny poranek. Kobieta delikatnie ukłoniła się zerkając w kierunku potężnej elektrociepłowni Szombierki i nieco rozbawionym głosem pożegnała się z panem Tadeuszem. Odchodząc w kierunku sąsiedniej klatki nie dostrzegła kotów, ale zwróciła uwagę na dziewczynkę. Ewunia miała wrażenie, że kobieta na ułamek sekundy przystanęła i przesłała jej serdeczny uśmiech. Pan Tadeusz jeszcze przez moment odprowadzał wzrokiem towarzyszkę podróży, po czym odszedł na tył samochodu i z bagażnika wyjął swój instrument. Zamykając klapę samochodu zauważył, że na schodach siedzi jego córka. Przez całe to zamieszanie zupełnie zapomniał zamrugać do niej światłami! Och, gdyby tylko nie dał się zagadać pani Ewie, nie musiałby teraz tłumaczyć się przed córką. Trudno.

– Tato, kto to był? – Ewunia od razu przeszła do sedna.

– To nasza nowa sąsiadka…

– Od kiedy? Przecież znam tu wszystkich – Ewunia przerwała Panu Tadeuszowi.

– Pani Ewa wprowadziła się akurat jak byłaś na obozie. Przepraszam Cię kochanie, że nie zamrugałem – odpowiedział nieco skruszony pan Tadeusz.

– Ewa? O, ma tak samo na imię jak ja, to interesujące. Powiedz mi, dlaczego z Tobą przyjechała? – dziewczynka nie poddawała się.

– Pani Ewa jest piosenkarką. Była dzisiaj na próbie naszej orkiestry. A ponieważ jesteśmy teraz sąsiadami, wróciliśmy do domu razem.

– Ach, piosenkarką! To teraz już wszystko rozumiem – powiedziała do siebie Ewunia.

– Co takiego, córciu? – zapytał pan Tadeusz.

– Widzisz tato, od kiedy wróciłam znad morza, myślałam, że mam chore uszy. Bałam się Wam powiedzieć, bo nie chciałam iść do lekarza.

– Chore uszy? Coś Cię boli, dziecko? – nie na żarty zaniepokoił się pan Tadeusz.

– Nie, wszystko jest już w porządku. Tutaj zawsze było słychać różne dźwięki.

Z centrum miasta dochodzi szum samochodów, można też usłyszeć przejeżdżające niedaleko pociągi czy przelatujące samoloty. Wiem, kiedy przejeżdża śmieciarka albo jakiś wóz dostawczy mija nasz blok. Umiem rozpoznać, kiedy w warsztacie naprawiają wgniecioną blachę, a kiedy ją malują. Ja te wszystkie szumy już znam i wcale mnie nie zaskakują. Ale od kiedy wróciłam z obozu, codziennie słyszałam jakieś nowe dźwięki. Nad morzem wsłuchiwałam się w szum fal, skrzeczenie mew, ciągle przykładałam do uszu muszle, ale ostatniego wieczora, gdy poszliśmy na długi spacer po plaży, wiał silny wiatr. Tak silny, że aż strącił mi z głowy czapkę. Czapka wpadła do morza i musiałam wejść po kolana do wody, żeby ją wyłowić. Nic mi nie było, aż do powrotu, gdy zaczęłam słyszeć te dziwne dźwięki. Czasami aż dostawałam gęsiej skórki! Myślałam, że może wtedy nad morzem przewiało mi uszy i teraz stroją sobie ze mnie żarty. Ale już chyba wiem co to było – wypowiadając ostatnie zdanie Ewunia uśmiechnęła się poro-

zumiewawczo do taty. Właśnie wchodzili do mieszkania, w progu stała mama i słysząc koniec wypowiedzi córki, popatrzyła wymownie na pana Tadeusza.

– O czym wy szczebioczecie? Znowu macie jakieś sekrety przede mną? – zapytała wyraźnie zaciekawiona pani Tadeuszowa.

– Ewunia twierdzi, że ma chore uszy – wyrecytował jak na spowiedzi pan Tadeusz. Nigdy nie lubił mieć tajemnic przed żoną. Zresztą pani Tadeuszowa miała niezwykły talent do wyciągania z niego wszystkiego, czego tylko chciała się dowiedzieć. „Żony chyba już tak mają" – czasami tłumaczył sam sobie.

– Tato, nie mam chorych uszu. Powiedziałam tylko, że tak myślałam. Zresztą to już nieaktualne – poważnie zakończyła dyskusję Ewunia.

Państwo Tadeuszowie nie powiedzieli nic więcej. Zapadła tylko taka niezręczna cisza, bo ani mama nie miała zamiaru dopytać, ani Ewunia chęci wyjaśniać. Panu Tadeuszowi też nie było w smak stawać między te dwie niezależne kobiety. Odstawił więc do szafy futerał z trąbką i szybkim krokiem udał się w stronę łazienki. Może jak chwilę dłużej będzie mył ręce, to już nikt o nic go nie zapyta? No, poza tym, co zje na kolację. O tak, kolacja. Jedyne, o czym teraz marzył pan Tadeusz, to ciepła kolacja. Zawsze kiedy wracał z próby, był bardzo głodny. Pan Tadeusz od dawna grał w Górniczej Orkiestrze Dętej w Miechowicach. Próby orkiestry odbywały się zawsze w każdy piątek i trwały zwykle ponad 2 godziny. Choć podczas prób muzycy najczęściej siedzieli na krzesłach, to i tak wielu z nich wracało do domu bardzo zmęczonych. I głodnych oczywiście. Wszak nie zaleca się jeść tuż przed graniem na dętych instrumentach.

– Tadeuszu, chciałybyśmy już zacząć kolację, jesteś gotowy? – wyrwała go z zadumy żona. Wyszedł więc z łazienki i przysiadł się do zastawionego stołu. Po przeciwnej stronie, na swoim ulubionym krześle, siedziała Ewunia. To było jej strategiczne miejsce, z którego mogła obserwować całe mieszkanie i dwa osiedlowe koty kręcące się zawsze w pobliżu bloku. Teraz jednak jej oczy wręcz wbijały się w pana Tadeusza. Koty na pewno zeszły na dalszy plan. Pan Tadeusz doskonale przeczuwał, co tu się zaraz wydarzy. Zawczasu nałożył więc sobie na talerz porcję sałatki i zaczął szykować kanapki. Wciąż czuł na sobie spojrzenie córki. Obserwowała każdy jego ruch. Gdy tylko skończył przygotowanie posiłku i już miał ugryźć pierwszą z kanapek, Ewunia przerwała milczenie:

– Tato, proszę, powiedz mi wszystko co wiesz o pani Ewie i oczywiście o tym, co będziecie razem robić.

Pan Tadeusz zbladł. Pani Tadeuszowa wymownie chrząknęła.

– Przecież to chyba nie jest tajemnica? – mrugnąwszy jednym okiem w kierunku taty, dodała Ewunia.

– Córeczko, nie jest, to przecież oczywiste. Tylko co ja mam ci jeszcze powiedzieć? Pani Ewa jest piosenkarką, a od niedawna także naszą sąsiadką. Nic więcej nie wiem. No, ma też córkę. Dziewczynka gra na skrzypcach i jest mniej więcej w twoim wieku. No tak! Skrzypce. Słyszałaś pewnie jak Oliwia ćwiczy na skrzypcach, a Pani Ewa śpiewa – zakończył już nieco spokojniejszy pan Tadeusz.

– To nie jest takie „nic”, tatusiu! Skrzypce to jest wielka rzecz. Śpiewanie też – Ewunia poczuła, że bardzo chce bliżej poznać Oliwię i Panią Ewę, i zaraz dodała – ale tatusiu, nadal nie powiedziałeś, co będziecie robić razem. Chcę to wiedzieć. Czy mogę ci wtedy towarzyszyć?

– Ewuniu, nie powiedziałem, że będę robić coś razem z panią Ewą. Skąd ten pomysł? Pani Ewa po prostu odwiedziła dzisiaj naszą orkiestrę.

– To znaczy, że nie będziecie razem występować? – nieco rozczarowana dopytywała dalej Ewunia.

– Nie, kochanie, na to się nie zanosi. Ale jeśli chciałabyś zobaczyć występ pani Ewy, to oczywiście możemy wszyscy razem wybrać się na jej koncert. Co Ty na to?

Ewunia pokiwała twierdząco głowo. Była zbyt podekscytowana, żeby cokolwiek powiedzieć. W trakcie kolacji rozmyślała o nowych sąsiadkach. Zastanawiała się, skąd przyjechały, dlaczego zamieszkały właśnie tutaj, na osiedlu, obok wielkiej elektrociepłowni i czy Oliwia będzie chciała poskakać z nią w gumę. Z zadumy wyrwał ją Pan Tadeusz, który próbował nastawić adapter. Dziewczynka nawet nie zauważyła, kiedy tata wstał od stołu. Pan Tadeusz chwilę walczył z igłą i wreszcie z głośników popłynęła muzyka. Czarny krążek równomiernie kręcił się w adapterze.

– To dziwne, ale zawsze, gdy tata włącza adapter, czuję jakby wszystko zastygało – powiedziała na głos Ewunia.

Rodzice uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Dziewczynka lubiła słuchać płyt rodziców. Nazywali je winylami. Mieli ich bardzo dużo. A Ewunia miała swoje ulubione. Tej jednak jeszcze nie znała. Gdy usłyszała kobiecy głos, dostała gęsiej skórki. Szybko zrozumiała, że już gdzieś go słyszała. Nie potrafiła jednak wydobyć z pamięci ani miejsca, ani sytuacji, ani tym bardziej osoby, do której należał.

– Tato, kto to śpiewa? – zapytała po chwili.

– A właśnie pani Ewa, nasza sąsiadka.

– Niesamowite. Od kiedy ta płyta jest w naszym domu? Dlaczego jej nie znam? – zaczęła zasypywać ojca pytaniami.

– Córeczko, to jest zupełnie nowa rzecz. Dostaliśmy ją od pani Ewy. Zobacz jest na niej nawet dedykacja.

„Muzyka jest oceanem bez dna, z którego można czerpać i dzielić się z innymi. Ewa Uryga” – przeczytała na głos Ewunia. Jakie to piękne! – zachwyciła się.

– I pomyśleć, że tak niewiele brakowało, a poszłaby zupełnie inną drogą – przerwała córce pani Tadeuszowa.

– Co to znaczy, mamo?

– Pani Ewa, gdy była jeszcze nastolatką, trenowała koszykówkę, tak jak Ty. Chciała zostać trenerką, kiedy dorośnie. Była bardzo dobrą zawodniczką, mogła zrobić karierę sportową.

Ewunia otwarła buzię ze zdumienia – Niemożliwe mamo! – prawie wykrzyknęła – z takim głosem?

– Masz zupełną rację, córeczko – uśmiechnęła się pani Tadeuszowa i kontynuowała – dokładnie tak samo pomyślała kiedyś pewna profesorka w technikum, w którym uczyła się młodziutka pani Ewa. Nauczycielka zaprosiła ją do szkolnego zespołu muzycznego i od tego wszystko się zaczęło – konkursy muzyczne, występy, koncerty, wyjazdy zagraniczne. Pani Ewa była na liście do kadry Polski jako juniorka koszykarka, zdobyła dyplom technika elektryka, a portem została sławną piosenkarką.

– Ale ta nauczycielka miała… no, wiesz. Jak to się mówi? Wyczuła to? – szukała właściwego słowa Ewunia.

– Miała intuicję. Tak, pani Sochacka potrafiła rozpoznać prawdziwy talent. Bardzo wspierała swoją młodzież, kibicowała im i nadal interesuje się tym, co robią. Poznałaś ją jakiś czas temu. Przyszła na koncert orkiestry, w której gra tata. Bardzo podobał ci się jej kapelusz.

– Wiem, o kim mówisz. Pamiętam kapelusz i uśmiech tej pani. Jaka była szczęśliwa! – Ewunia uśmiechnęła się do swoich wspomnień, a po chwili milczenia zapytała:

– Mamo, ale ta pani była chyba waszą nauczycielką, prawda?

– Tak – odpowiedziała pani Tadeuszowa.

– Czyli kobieta od kapelusza uczyła was i panią Ewę… to znaczy, że chodziliście do tej samej szkoły. Wy się znacie!

– Tak, chodziliśmy do tej samej szkoły, ale w innym czasie, więc nie mogliśmy się poznać – dopowiedział pan Tadeusz. Poznaliśmy się dopiero teraz, gdy pani Ewa zamieszkała obok. Choć to zabawne. Dziś, gdy wracaliśmy z orkiestry, rozmawialiśmy o czasach szkolnych i okazało się, że nie tylko chodziliśmy do tego samego technikum, ale także do podstawówki. Mamy więc całe mnóstwo wspólnych znajomych, a dwa razy byliśmy nawet na tym samym koncercie. Mało tego, pani Ewa urodziła się 4 grudnia. Z czymś Ci się kojarzy ta data?

– Barbórka! I urodziny cioci Basi! Niesamowite.

– Tak, niesamowite jest też to, że obie z ciocią Basią urodziły się w tym samym bytomskim szpitalu, tego samego dnia.

– Tato, to jest proste. Nasze drogi musiały się w końcu skrzyżować. Czuję, że te dzisiejsze odwiedziny w orkiestrze nie były przypadkowe. Zarządzam więc wspólne wyjście na koncert pani Ewy, a potem koniecznie musicie zaprosić ją i Oliwię do nas na obiad – z poważną miną i na jednym oddechu wyrecytowała Ewunia. Państwo Tadeuszowie spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

– Tak jest, córeczko! A teraz pozwól, że wysłuchamy dalej płyty pani Ewy – kończąc zdanie, pan Tadeusz delikatnie podgłośnił muzykę. Przez dłuższy czas z mieszkania państwa Tadeuszów rozchodziła się już tylko łagodna, jazzowa muzyka i kojący głos Ewy Urygi…

Lekcja
Abc

JANINA OMAŃKOWSKA

Janka miała wielką moc. Siłą Janki była miłość do nauki i rozwoju.

Janka urodziła się w 1859 roku we wsi Srebrniki, niedaleko Torunia. W tamtym czasie językiem urzędowym mieszkańców tych ziem był język niemiecki. Zresztą tak samo było na Śląsku. Nie znaczy to, że język polski nie istniał. Choć Polski nie było wtedy na mapach, wielu ludzi skrywało polskość w swoich sercach i domach. W wielkiej tajemnicy dorośli uczyli dzieci polskiej mowy, pomagając sobie przechowywanymi w ukryciu książkami. W takim domu, w takiej rodzinie, przyszła na świat Janka. Ojciec dziewczynki był nauczycielem. Rodzice – Robert i Elżbieta – bardzo dbali o edukację Janki, jednocześnie zaszczepiając i pielęgnując w niej ogromną miłość do kultury polskiej i wartości katolickich. Gdy Janka dorosła, również została nauczycielką. Pracowała jako guwernantka na polskich dworach oraz potajemnie uczyła języka polskiego dzieci robotników i rzemieślników. Była silna i niezależna. Znała swoją wartość i wiedziała, że kobiety, podobnie jak mężczyźni, mogą zdobywać szczyty, sięgać gwiazd. Nie dla wszystkich było to jeszcze oczywiste. Świat sprzyjał mężczyznom i chłopcom. Dziewczynki, dziewczyny i kobiety musiały pokonać długą drogę, stoczyć wiele mentalnych bitew, by dziś móc nosić spodnie, uczyć się, zdobywać zawód i robić to, na co mają ochotę, a nie to, czego oczekują od nich przedstawiciele płci męskiej. Janka wykorzystywała więc swoją wiedzę i umiejętności, by zachęcać i wspierać inne dziewczyny w samorozwoju. Jej moc była jak magnes. Przyciągała tłumy, które podążały za nią i rosły w siłę. Organizowała dla nich koła literackie, grupy do samodzielnej nauki, pisała podręczniki, wygłaszała przemówienia. Popierała i wspierała aktywność kobiet. Sama stała się wielką aktywistką i działaczką społeczną. Czy wszystkim podobało się to, co robiła Janka? Nie. Sporo osób nie chciało, żeby kobiety uczyły się, szły do pracy i rosły w siłę. Za to wszystko Janka została ukarana i wtrącona do więzienia. Czy niewola, kraty, zimna cela mogły ją jednak zniechęcić? Czy mogły ją złamać? Mogły, lecz tak się nie stało. Mówiono o niej, że jest bezczelna, że wtyka nos w nie swoje sprawy. Przedstawiciele władzy widzieli w niej tylko kłopoty. Tymczasem pobyt w więzieniu i liczne prześladowania sprawiły, że Jance urosły skrzydła. Oczywiście nie były to skrzydła, które znasz, takie jak u ptaka, pełne piór. Te skrzydła były niewidoczne gołym okiem, ale każdy, kto spotkał Jankę, wyraźnie czuł i wiedział, że te metaforyczne skrzydła pozwolą jej wzbić się wysoko i lecieć bardzo daleko.

I tak się stało. W 1903 roku skrzydła poniosły ją na Górny Śląsk, do Bytomia. Janka miała wtedy już ponad czterdzieści lat, była dojrzałą kobietą, ale z całą pewnością daleka podróż pociągiem stanowiła dla niej ekscytującą przygodę. Szkoda, że dziś nie można zobaczyć, jak pod stary, ceglany bytomski dworzec podjeżdża pociąg z ogromną lokomotywą parową. Budynek dworca, który znasz, został wybudowany ponad dwadzieścia lat później. Wcześniej w tym miejscu znajdowała się dużo mniejsza budowla, której dach pokryty był piękną, czerwoną dachówką, a narożniki bryły zdobiły strzeliste wieżyczki. Stary dworzec, tak jak późniejszy, również posiadał w centralnym puncie wielki zegar, widoczny ze sporej odległości. Z daleka można było również dojrzeć lokomotywę, sunącą po torach w stronę stacji. Na jej daszku znajdował się okrągły komin, z którego buchała para. Gdy pociąg zbliżał się do stacji, wyglądał, jakby płynął na obłoku. Ludzie stali na peronie i obserwowali to niesamowite zjawisko. Lokomotywa w pierwszej kolejności ciągnęła wagon z węglem, wagony dla podróżnych doczepione były dalej. Gdy pociąg wreszcie się zatrzymał, a para z wolna opadała, dostrzec można było przyjezdnych. Mężczyźni w idealnie skrojonych marynarkach i surdutach, z głowami nakrytymi melonikami, kaszkietami albo cylindrami, w rękach dźwigali walizki. Kobiety, w kolorowych sukniach z pięknymi koronkowymi ozdobami, w ukwieconych kapeluszach i butach na obcasach, najczęściej zaopatrzone były w pękate parasolki, którymi podpierały się dla równowagi, schodząc po schodkach z poziomu wagonu na płytę peronu. Obok tłoczyli się nowi pasażerowie, których pociąg miał zabrać w dalszą podróż. Ludzkie głosy mieszały się z ciężkim sapaniem i pogwizdywaniem lokomotywy. Kolorowe widowisko. Wśród osób opuszczających jeden z drewnianych, bardzo eleganckich wagonów była kobieta w skromnym, surowym stroju, w nienagannie upiętych włosach i drucianych okularach. To była Janina, bo już nie Janka. Poważna kobieta z misją. Ciekawe, o czym myślała, schodząc po schodkach na peron... Czy spodobał jej się przedwojenny Bytom, zupełnie inny od tego, który dziś znasz? Czy ktoś na nią czekał? Dokąd w pierwszej kolejności skierowała swoje kroki? Jeśli padał deszcz, może schroniła się na chwilę w wystawnej, dworcowej poczekalni? Już wtedy działał na dworcu legendarny bufet, gdzie można było zjeść obiad lub napić się rozgrzewających napojów. Po kilkugodzinnej podróży Janina na pewno była bardzo głodna i zmęczona.

W Bytomiu zamieszkała w kamienicy w samym centrum. Rozpoczęła pracę zostając redaktorką tutejszego tygodnika „Gwiazda". Uwielbiała pisać, dlatego z czasem zaczęła współpracować z innymi dużymi i ważnymi czasopismami. Jej działalność szybko nabrała rozpędu. W 1904 roku zainicjowała w Bytomiu pierwszy na Górnym Śląsku wiec polskich kobiet. Choć prawo zakazywało kobietom podobnej aktywności, w wydarzeniu wzięło udział prawie 1200 pań. Wyobraź sobie hotelową salę wypełnioną kobietami w różnym wieku. Wszystkie ubrane w kolorowe suknie, niektóre ustrojone w piękne kapelusze. Gwar, narastające emocje. To była wielka rzecz! Walczyły przede wszystkim o prawo do nauczania języka polskiego i w języku polskim,

rozwoju ruchu samokształceniowego i nadawania dzieciom polskich imion. Janina była całkowicie oddana sprawie, oddana społeczeństwu. Stała się przywódczynią, liderką, przewodniczką i matką duchową dla polskich Ślązaczek i Ślązaków. Ludzie liczyli się z jej zdaniem i opinią.

Podczas Wielkiej Wojny (tak nazywano pierwszą wojnę światową) w bytomskim „Ulu" zbierały się kobiety, by szyć koszule i ciepłą odzież. Wiele z nich codziennie toczyło walkę o przetrwanie. Być może ochotniczki, zmęczone i przerażone sytuacją, upadały na duchu. Janina była obecna na tych spotkaniach. Jej słowa wsparcia, otuchy, a także motywujące przemówienia wlewały w serca tych kobiet miłość i wiarę w lepszą przyszłość. Kobiety były bardzo spragnione opowieści Janiny. Dlatego, gdy tylko wojna się skończyła, nie było niedzieli bez spotkania z nią. Janina kochała Polskę i wszystko, co z nią związane. Gdy przemawiała, tę miłość zaszczepiała w słuchaczkach.

Nadeszło nowe. Po 123 latach Polska znów mogła zaistnieć na mapach. Trzeba było więc wytyczyć jej granice. Ponieważ od zawsze Śląsk był wielokulturowym tyglem, nie wszyscy mieszkańcy Śląska czuli się Polakami i chcieli być częścią odradzającego się polskiego państwa. Część śląskich miejscowości nie została przyłączona do nowej Polski. W tym także Bytom pozostał niemieckim miastem. Na propolskie działania Janiny nie było miejsca w niemieckim Beuthen. Czy mogło ją to zmartwić? Janina była twarda. Nie przejmując się nowymi okolicznościami, kontynuowała swoją misję krzewienia miłości do Polski nawet wśród niemieckich Ślązaczek i Ślązaków. Jednak, gdy grupa mężczyzn napadła na nią i zmusiła do wyprowadzki, spakowała sprawnie swoje rzeczy i przeniosła się za granicę do sąsiedniej gminy – polskiej Królewskiej Huty (obecnie część Chorzowa). Nadal przyjeżdżała do Bytomia – miała tu przecież pracę w redakcji gazety – i wciąż działała na rzecz kobiet. I choć jako polska patriotka w niemieckim Bytomiu uchodziła za persona non grata, czyli osobę niepożądaną, wiedz że nic nie mogło jej zatrzymać. Leciała przed siebie, niesiona wiatrem wielkich zmian. Niczego i nikogo się nie bała.

Jej skrzydła nie opadały. Przeciwnie. Dzięki nim mogła wzbić się naprawdę wysoko i zdobyć szczyty, o których nikt na świecie nawet nie marzył. Janina, jako jedna z pierwszych kobiet, została wybrana na posłankę do Sejmu Śląskiego. Wielkie wyróżnienie. A gdy trzeba było otworzyć pierwsze posiedzenie sejmu, wydarzyła się rzecz niezwykła. To właśnie ona, jako pierwsza w świecie kobieta, doświadczyła tego zaszczytu. Wielu mężczyzn szeptało z oburzeniem. Ale to naprawdę się wydarzyło: Janina przemawiała i przewodniczyła historycznemu posiedzeniu Sejmu Śląskiego. „Obyż serca nasze przepełnione były duchem zgody, może nawet, jeśli będzie potrzeba, duchem ofiary (...). W tej myśli wnoszę okrzyk: Niech żyje lud górnośląski, niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska!" – głosiła jako Marszałek Senior na pierwszym posiedzeniu. Wiadomość o tym oraz zdjęcie Janiny trafiły do gazet na całym świecie.

Janina osiągnęła ogromny sukces. Dlatego, gdy w krótkim czasie poważnie zachorowała, bardzo przeżywała fakt, że nie może już przemawiać i pisać. Wciąż jednak spotykała się z ludźmi i wspierała potrzebujących. Nie porzuciła skrzydeł, ale dzieliła się ich mocą z innymi.

Zmarła 24 sierpnia 1927 roku w Królewskiej Hucie. Jeśli kiedyś będziesz w Chorzowie, możesz odwiedzić jej grób na cmentarzu przy parafii św. Jadwigi. A potem koniecznie przejdź się ulicą Wolności i zerknij na kamienicę znajdującą się pod numerem 22 – to tu ostatnie lata swojego życia spędziła Janina. Idąc dalej około kilometra w dół ulicy, dojdziesz do przecznicy, której patronką jest Janina Omańkowska. W innym polskim mieście też znajdziesz ulicę nazwaną jej imieniem. Czy domyślasz się, gdzie? Może wybierzesz się tam w podróż pociągiem?

JUSTYNA LISZKOWSKA

Justyna ma wielką moc. Jej mocą
jest ogromna miłość do życia i do działania.

1.

Jest ciemno. Ulicą Strzelców Bytomskich w kierunku Stroszka – północnej dzielnicy miasta, biegnie niewysoka postać. Porusza się dość szybko, ukradkiem zerka na boki, jakby niepostrzeżenie chciała zlustrować okolicę. Tylko wprawne oko jest w stanie dojrzeć, że z jednego jej łuku brwiowego sączy się niewielka strużka krwi. To pamiątka po niedawnej zwycięsko stoczonej walce. Zazwyczaj wszyscy lubią wygrywać, więc Justyna powinna być z siebie dumna. Czy jest? Jest dumna z tego, że sobie poradziła, ale dobrze wie, że ta walka nie powinna była się wydarzyć. Właśnie wraca do domu, do mamy. Za chwilę minie skrzyżowanie z ulicą Fałata i skręci w prawo, w Cegielnianą. Stamtąd już prosta droga do ulicy Odrzańskiej. Mama od niedawna mieszka w niewielkim, fińskim domku. Justyna domyśla się, że pewnie już czeka ze świeżo zaparzoną herbatą ziołową i ciepłą kolacją. Nie będzie zachwycona tym, co zobaczy. Jak do tego doszło? Czy coś Ci zrobili? Zaleje córkę serią pytań. A Justyna wszystko powie, jak na spowiedzi, bo przed mamą nie da się niczego ukryć. Właśnie zbliżała się do krawędzi miejskiego parku, gdy (nie ma pojęcia skąd) wyskoczyli starsi od niej młodzi mężczyźni i dosłownie rzucili się na nią. Jest przełom wieków, czas wielkich zmian. W Bytomiu zamykane są kopalnie, tysiące ludzi tracą pracę, nie mają z czego żyć. Niektórzy zaczynają kraść. Rośnie liczba napadów. Justyna stała się jedną z ofiar…

Zaczyna się kotłować, nie wiadomo czyja to ręka, kto wyprowadza cios, słychać trzaski, plask – mocne uderzenie, hydrz – odgłos kopnięcia. Szarpnięcie, przytrzymanie, odbicie! Jęki… a potem stukot kilku par butów na wilgotnym asfalcie. Światło ulicznej latarni złowieszczo mruga. Justyna poprawia kurtkę, naciąga na głowę pomarańczową czapkę i podnosi z ziemi swoje rzeczy. „Co to było?” – mówi półgłosem do siebie. Napastnicy nie mieli pojęcia, że ta niewysoka dziewczyna, którą zamierzali okraść, trenuje Aikido – japońską sztukę samoobrony. Gdy uciekają, nie zdają sobie do końca sprawy z tego, że jeszcze długo będą lizać swoje rany. Justyna natomiast od tego momentu będzie się bać chodzić bytomskimi ulicami po zmroku. Gdy dawniej mieszkała wysoko w górach, ona i sąsiedzi również nie wychodzili po zmroku,

lecz nie z obawy przed ludźmi, a przed dzikimi zwierzętami. Tu, w mieście, miało być inaczej. Gdy pewnego dnia zabraknie w Bytomiu mamy, a jej dom zrujnowany szkodami górniczymi, będzie się sypać, Justyna wyjedzie, pozostawiając Bytom za sobą.

2.

Pojawia się w najmniej oczekiwanym momencie, ale z odpowiednim wyczuciem. Na pytanie czy bardziej kocha psy czy koty, zdecydowanie odpowiada, że najbardziej kocha psy. Mówi, że urodziła się w Bieszczadach, w tej części, o której dorośli głośno marzą słowami „rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady". Wychowała się tam na łąkach i pastwiskach, wśród stada owiec. Od kiedy tylko pamięta, ciągle coś robi, organizuje. Nie lubi niezagospodarowanego czasu i miejsca. Lecz najważniejsze są dla niej relacje. Relacjami dorośli nazywają tę niewidoczną nić, która oplata ludzi i zwierzęta, przez którą zawsze, gdy muszą się od siebie oddalić, czują wielki ciężar w środku, a z oczu kapią im łzy. Jest piękne, słoneczne przedpołudnie. Na ukrytym w cieniu tarasie siedzi Justyna, rozmawia z kobietą ubraną na czarno. Choć nigdy wcześniej się nie spotkały i obie są zupełnym przeciwieństwem siebie, rozmawiają jak serdeczne przyjaciółki. Tuż przy nich, na tarasowych kafelkach leży pies. To Berka, suczka Justyny, jej kompanka doli i niedoli, smutków i radości. Berka jest bardzo spokojna, zupełnie jakby pałacowy taras był jej drugim domem. Jeszcze nie wie, że tocząca się ponad jej głową rozmowa, jest rozmową kwalifikacyjną. Justyna przyjechała do Miechowic na rozmowę w sprawie pracy. Ostatnie dwanaście lat spędziła w Starym Sączu, tam gdzie się wychowała. Gdy opuszczała swoje stare miejsce pracy, w lokalnych gazetach napisano: *Zawsze uśmiechnięta, zawsze pierwsza do pomocy, wybitnie zarządzająca armią wolontariuszy, uwielbiana przez dzieci i młodzież, zorganizowana, kompetentna, przekonująca i potrafiąca zawsze znaleźć kompromis. Swoją wyjątkową osobowością, charyzmą, niezwykłym opanowaniem i zawsze pozytywnym nastawieniem – zyskała sobie wśród nas rzesze sympatyków, a nawet wielbicieli.* Przyjaciele napisali petycję, którą w ciągu paru chwil podpisało kilkadziesiąt osób. Nikt nie chce rozstawać się z Justyną. Uplotła na Sądecczyźnie dużo silnych i trwałych nici. Wierzy, że ani czas, ani tym bardziej odległość, nie są w stanie zniszczyć tych relacji. Siedząc na pałacowym tarasie, właśnie snuje nową nić, którą delikatnie łączy z dotychczasowymi sądeckimi pajęczynami uczuć i doświadczeń. Zarówno Justyna, jak i kobieta w czerni, czują, że to spotkanie miało się zdarzyć. Musiało zadziać się to wszystko, co doprowadziło je do siebie i do rozmowy na tarasie miechowickiego pałacu. Kiedy wiele lat temu Justyna opuszczała zrujnowany dom mamy i niebezpieczne ulice, w pamięci zostawiła dobre obrazy – kadry przepełnione słońcem, gwarem najbliższych, zabawą na starym tarasie mamy. Słońce, dobra rozmowa, taras – teraz, w tym momencie czuje się jak dawniej, jak gdyby nic się nie zmieniło…

Ale Bytom jest już zupełnie innym miejscem i tak naprawdę Justyna musi odkryć go na nowo. Już sam pałac w Miechowicach robi na niej wrażenie. Jeszcze niedawno

rozsypywał się bardziej niż stary dom jej mamy na Odrzańskiej. Teraz stoi przed nią w całej swej okazałości, zaprasza do środka. Otaczający go park nie wzbudza lęku. Justyna dostrzega w nim mnóstwo możliwości, oczami wyobraźni widzi, jak razem z dziećmi zaopatrzonymi w szkła powiększające i lornetki wyrusza na wyprawę. To będzie wielka lekcja uważności, czujności i skupienia. Gdy penetruje pałacowe zakamarki, już wie, że w piwnicy spędzi niejedną dłuższą chwilę. To jest teraz jej miejsce. Tu, w najmniej odpowiednim momencie, rodzą się rzeczy dobre i piękne, spotykają się ludzie mniej i bardziej znani, inni, ale wszyscy ważni.

Pewnego dnia, ktoś nazwie Justynę Bieszczadzkim Aniołem, dobrym duchem nadsańskiej ziemi, który wniósł do Bytomia wiosnę. Gdy pytam dzieci z pobliskiej szkoły o Justynę, robią wielkie oczy, ktoś recytuje na jednym oddechu: *Miała więcej przygód niż Emil z Lönnebergi i Pippi Långstrump razem wzięci. Wie, jak zbudować czteropokojowe igloo i jak przetrwać, gdy zasypie cię śnieg. Małym palcem sama rozprawi się z bandą huncwotów. Narąbie drewna, zmieni koło w samochodzie, upiecze ciastka, z których nie zje ani kęsa – bo to dla gości, przytuli, postawi do pionu. A po wszystkim, z patyczków stworzy zwariowaną szajkę patyczkowych ludków i już razem bawicie się w wojnę na kamyczki.*

Mówię: *Nie wierzę. Takie dziewczyny nie istnieją* i konspiracyjnie mrugam do dziewczynki po prawej stronie – znamy się z pałacowych warsztatów. Dzieci przekrzykują się jedno przez drugie. Z plątaniny ich dziecięcych głosów wychwytuję: *Idź do pałacu. Przekonasz się na własne oczy*. Zatem idę. Staję przez wielkimi drzwiami, naciskam na dzwonek. Po kilku minutach pałacowe wrota otwierają się i wita mnie niewysoka dziewczyna w pomarańczowej czapce

– *Siemanko, Wariacie! Chodź, zrobię Ci herbaty*. I już czuję się jak w domu, bezpiecznie. Jest niekończąca się wiosna, bo jest Justyna. Bytom rodzi się na nowo i pięknieje. Schodzimy do piwnicy, gdzie czeka na nas rozłożony stół, kawałki skór, narzędzia. Pachnie pracą i przyjemnością.

KARIN STANEK

Karin miała wielką moc.
Mocą Karin był śpiew i muzyka.
Ponad wszystko kochała muzykę,
a muzyka kochała Karin.
Została więc Karin królową – królową polskiej piosenki młodzieżowej.

Dawno, dawno temu… – tak zaczynają się najlepsze baśnie i równie dobre legendy, a w każdej baśni i w każdej legendzie zawsze ukryte jest ziarno prawdy. Karin jest postacią prawdziwą i legendarną, a jej życie przypominało niejedną baśniową opowieść. Wszystko zaczęło się ponad osiemdziesiąt lat temu, w (niemieckim jeszcze) Bytomiu, przy tętniącej gwarem ulicy Schießhausstraße.

W trzypiętrowej kamienicy numer 6, w niewielkim lokalu zapracowanego górnika, 18 sierpnia 1943 roku przyszło na świat trzecie dziecko. Dziewczynka. Maszkaron zaglądający w okna, roześmiał się na widok pucułowatej twarzyczki maleństwa i zatkał uszy. Później, cherubinkom zamieszkującym razem z nim kamienicę przy sąsiedniej Freiheitstraβe, do której niebawem wprowadzi się Karin, szeptał, że to dziecko jest bardzo głośne… Ale to nic.. Kiedyś narobi jeszcze więcej hałasu. „Nie zapomnicie o niej!”– odgrażał się palcem, którego nikt nie widział.

Dziewczynka rosła. Urosły jej też włosy. Były one grube i ciemne. Później zaczęła zaplatać je w dwa warkocze. Tak było najłatwiej i najszybciej. A Karin była szybka jak błyskawica. Wszystkiego chciała dotknąć, wszystko chciała zobaczyć i wszystko wiedzieć. Nie czekała, aż ktoś jej pokaże, wyjaśni. Biegła przed siebie, wyciągając ręce po to, czego chciała. Niektórzy mówili, że jest jak tornado. Uwielbiała bawić się, tańczyć, skakać, biegać. Ale najbardziej ze wszystkich aktywności kochała grać w piłkę nożną. Mała Karin rosła w czasach, gdy dziewczynki powinny być zawsze grzeczne i poukładane. Ubierane były najczęściej w doskonale wyprasowane sukienki z białymi kołnierzykami i śnieżnobiałe podkolanówki. Karin jednak nosiła spodnie, w spodniach czuła się wygodniej. W spodniach można było tańczyć, fikać koziołki, łobuzować i niczym się nie przejmować. Można było też grać z chłopakami w piłkę. Karin musiała mieć prawdziwy talent, bo chłopcy z sąsiedztwa bardzo chętnie zapraszali ją do wspólnej gry i z dumą wybierali do swoich drużyn. Musisz wiedzieć, że była jedyną dziewczynką z okolicy, która mogła dostąpić takiego zaszczytu. Była wyjątkowa.

Dość szybko musiała jednak dorosnąć. Gdy w jej życiu zabrakło taty, a utrzymanie rodziny spadło na ramiona mamy, Karin porzuciła szkołę i codziennie pomagała mamie prowadzić dom. Była w szóstej klasie, gdy przerwała naukę. Ze smutkiem wyglądała przez okno i obserwowała koleżanki, które leniwie zmierzały w kierunku szkoły. Bardzo chciała się uczyć, ale zamiast tego, każdego dnia wstawała wcześnie rano, budziła trójkę młodszego rodzeństwa, szykowała im śniadanie, a następnie zaprowadzała do przedszkola. Potem w domu czekało na nią pranie, sprzątanie i gotowanie. To bardzo dużo pracy. A czy ty pomagasz w czymś rodzicom? Karin była jeszcze dzieckiem, gdy to wszystko na nią spadło. Mimo to starała się jednak czasami znaleźć chociaż kilka minut, żeby pograć w piłkę z chłopakami z podwórka. Tak, te kilka błogich chwil szalonej zabawy, z całą pewnością pomagało jej przetrwać trud ciężkiej pracy i szarej rzeczywistości. Nie było jej ani łatwo, ani lekko.

Przez cały czas bardzo chciała wrócić do szkoły. Marzyła o tym, aby móc znów się uczyć, poznawać świat. A ponieważ zawsze robiła to, co chciała, znalazła szkołę, w której lekcje odbywały się wieczorami. Na drodze stanęła jej jednak pewna przeszkoda. Do szkoły wieczorowej przyjmowano jedynie osoby pracujące zawodowo. Ponieważ pracą Karin było prowadzenie domu, nie miała żadnej umowy, którą mogłaby pokazać w szkole. Bycie gospodynią domową jest ciężką fizyczną pracą, ale niestety pracą nieformalną i bez wynagrodzenia. Karin musiała więc znaleźć zajęcie, które pozwoliłoby jej zarobić prawdziwe pieniądze. I choć była jeszcze dzieckiem, udało jej się. Jeśli myślisz, że dzięki temu było jej lżej, to muszę cię zmartwić. Karin nadal musiała wykonywać w domu wszystkie dotychczasowe obowiązki. Wyobraź sobie, jak bardzo skurczył się jej dzień, gdy do tego wszystkiego jeszcze codziennie chodziła do zakładu pracy, a wieczorem na lekcje do szkoły. Pewnie zastanawiasz się, kiedy jadła, kiedy odrabiała zadania i najważniejsze – kiedy spała? Czy w ogóle odpoczywała? Na pewno wieczorami była wyczerpana. Było jednak coś, co dodawało jej sił, coś, co sprawiało, że płynęła przez każdy dzień, kolejny tydzień i miesiąc. Swoje niewidoczne akumulatory, ładowała muzyką. Potrafiła grać na gitarze i świetnie śpiewała.

A ponieważ głos miała zawsze przy sobie, mogła śpiewać i nucić wszędzie tam, gdzie się znalazła. Śpiewała więc, prasując, śpiewała, biegnąc do pracy, skacząc po schodach, gotując, dostarczając przesyłki i w wielu, wielu innych momentach. Kiedy słyszała muzykę, kiedy grała i gdy śpiewała, świat wirował, niebo mieniło się tysiącem barw, klomby wybuchały fontannami kwiatów, a chodniki, schody, korytarze zamieniały się w sceny i estrady, na których codziennie od nowa wschodziła jako niewielka wzrostem, lecz wielka talentem - gwiazda Karin. Serce Karin biło szybciej, uśmiech nie znikał z okrągłej buzi, oczy błyszczały. Była szczęśliwa.

Wszędzie, gdzie się pojawiła, gdzie tylko dała popis swoich umiejętności, od razu wzbudzała podziw. Wszyscy chcieli jej słuchać i tańczyć razem z nią. Wszyscy poza kierownictwem jej zakładu pracy. Tam była tylko zwykłą Karin, małą dziewczynką z warkoczykami, biegającą na posyłki między biurami i urzędami.

Czasem Karin brała udział w konkursach muzycznych. Wyskakiwała na scenę ze swoją wielką gitarą i dawała czadu. Widownia była nią zachwycona, szalała razem z nią. Ale, pomimo to, Karin konkursy często przegrywała. Starsi członkowie komisji, panowie o poważnych twarzach, widzieli w niej zagrożenie. Młodzież miała być poważna i skupiona na nauce oraz pracy, a Karin, ta ze sceny, była tego przeciwieństwem. Nikt jednak nie wiedział, że prywatnie ta roztańczona dziewczyna jest cicha, skromna i właśnie bardzo skoncentrowana zarówno na pracy, jak i na nauce.

W marcu 1961 roku, choć wokół szalała jeszcze mroźna zima, w życiu Karin rozbłysło słońce. Zespół muzyczny Czerwono-Czarni przyjechał na Górny Śląsk. W Czerwono-Czarnych grali sami panowie. Ich muzyka była skoczna, porywająca. Prawdziwie mocne uderzenie. Karin bardzo się to spodobało. Panowie zagrali w Katowicach, Bytomiu i Zabrzu. Była na wszystkich ich występach. Po ostatnim koncercie w Zabrzu, zdecydowała się wystąpić przed komisją i wziąć udział w konkursie. Zespół Czerwono-Czarni szukał akurat młodych talentów. Karin, choć przecież taki talent miała, zupełnie w siebie nie wierzyła. Ogromna widownia, przed którą wystąpiła, była nią zachwycona! Wspaniała Karin, drobna dziewczynka z warkoczykami, z gitarą większą od siebie, skacze po scenie jak pchełka – co za niezwykłe widowisko! Jak myślisz, czy tym razem, znów komisja była oburzona jej występem?

Kilka dni później do rodzinnego domu w Bytomiu, listonosz przyniósł kopertę zaadresowaną do Karin. Pewnie zastanawiał się, kto też wysłał temu dziecku list… I to aż ze Szczecina! To przecież tak daleko od Bytomia! Z listu Karin dowiedziała się, że komisja jej nie odrzuciła. Przeciwnie, dziewczyna przeszła do następnego etapu konkursu. I wkrótce dostała nową pracę – została zawodową piosenkarką. Musiała tylko spakować swoje rzeczy i wyjechać z Bytomia. Wyruszyła w daleką podróż pociągiem. W Szczecinie wpadła w wir prób i koncertów.

Od tej pory jej życie całkowicie się zmieniło. Rozpoznawano ją już nie tylko w Bytomiu, ale w całej Polsce i wszędzie tam, gdzie dotarły śpiewane przez nią piosenki. Prawie każdego dnia była w innym miejscu, stawała na scenie, śpiewała i tańczyła, a publiczność ją uwielbiała. Ktoś nazwał ją Atomową Kaśką, ktoś inny powiedział, że jest jak dynamit. Karin stała się sławna. I choć mówiono też, że jest królową piosenki, nikt nigdy nie założył jej złotej korony na głowę. Zresztą Karin nigdy by jej nie przyjęła. Lubiła swoje dwa warkocze, w zupełności jej wystarczały. Nie nosiła też strojnych sukien z bufiastymi rękawami, a czarne spodnie i białą bluzkę. Ze sceny nuciła:

Biała bluzka, czarne spodnie,
tak najmilej, najwygodniej,
chociaż piękne stroje w sklepach są.

Niech się inne stroją modnie,
mnie wystarcza bluzka, spodnie,
gdy się twistem kręci świat,
a ja mam naście lat.

Niech spróbuje ta lub ta,
która furę sukien ma,
tańczyć twista tak jak ja
w sukieneczkach, falbaneczkach.

Biała bluzka, czarne spodnie,
tak się tańczy najwygodniej,
gdy do twista porwał świat,
gdy się ma naście lat.

Kiedyś Karin myślała, że sława to coś nieosiągalnego, kojarzyła jej się z pieniędzmi, dobrobytem. Myślała, że znani ludzie prowadzą beztroskie życie, bez problemów, bez zmartwień, że mają wszystko i przychodzi im to z łatwością. Wydawało jej się, że sława to szczęście. Bardzo szybko zrozumiała, że życie piosenkarki jest zupełnie inne. Wspaniale jest stać na scenie i śpiewać, ale przecież nikt nie wie, ile czasu trzeba wcześniej ćwiczyć każdą piosenkę, że przecież najpierw trzeba ją w ogóle wymyślić, napisać. Czasem Karin śpiewała w pięknych salach koncertowych. Ale były też koncerty w zimnych, ponurych halach, na dworze, w przeciągu, w środku zimy, a jej nie wolno było założyć ciepłej kurtki, czapki ani rękawiczek. Śpiewała więc i marzła. A potem chorowała. Chora wychodziła na scenę, bo w kolejnym miasteczku widownia na nią czekała. Czy mogła zawieść swoich fanów? Mijały tygodnie w trasie koncertowej, a zespół nie zawsze mógł liczyć na wygodne łóżka. Najczęściej odpoczywali na fotelach autobusu, który zabierał ich z koncertu i wiózł na następny. Karin bardzo tęskniła za swoim domem, za mamą i rodzeństwem. Na pewno tęskniła też za swoim podwórkiem, boiskiem i przyjaciółmi, którzy zostali w Bytomiu. Zrozumiała, że sława to kompromis, to poświęcenie, zawsze wybór i rezygnacja z czegoś. Czy pogodziła się z tym? Czy nigdy nie żałowała?

To wszystko nie było dla Karin łatwe. Choć miała wielki muzyczny talent, mnóstwo fanów, którzy ją uwielbiali, a każdy jej występ był widowiskowy, wciąż spotykała na swojej drodze ludzi nieżyczliwych, chcących ją skrzywdzić. Wyśmiewano jej śląski akcent, wymyślano kłamstwa na jej temat. To wszystko bardzo ją bolało. Nie mogła wyjeżdżać za granicę, by tam śpiewać. W końcu po wielu problemach, wyprowadziła się z Polski. Musisz wiedzieć, że to była jedna z najtrudniejszych decyzji, jakie podjęła. Bardzo kochała swój kraj, a w szczególności Śląsk i swoje rodzinne miasto – Bytom. Tęskniła. Oj, jak Karin tęskniła. Przez piętnaście lat nie mogła prze-

kroczyć granicy i odwiedzić przyjaciół, zaśpiewać dla polskiej publiczności. Bała się, że wtedy straci paszport i już nie zobaczy swojej rodziny, która od dawna mieszkała w Niemczech. Dzisiaj prawie każdy ma swój paszport w domu i za granicę może wyjechać, kiedy chce. Wtedy trzeba było na każdy wyjazd dostać specjalne pozwolenie od władz państwowych, a paszport wydawano tylko na ten konkretny wyjazd i trzeba było go szybko oddać po powrocie. Władze odmawiały wyjazdów z różnych powodów. Nawet bycie sławną piosenkarką nie pomagało. Kiedy więc w 1991 roku Karin została zaproszona do wspólnego koncertu z Czerwono-Czarnymi, który miał odbyć się w Sopocie, długo zastanawiała się, co zrobić. Tyle lat minęło, odkąd widzieli się ostatni raz, nie grali ze sobą. Czy ktoś ją jeszcze pamięta? Czy ktoś w ogóle chce jej jeszcze słuchać? Pytała siebie pełna obaw. Ponieważ w tym czasie dowiedziała się, że w Polsce właśnie wszystko się zmienia, postanowiła zaryzykować i przyjechać. Tęskniła, ale była też bardzo ciekawa. Do Polski przyjechała z mamą. Kiedy stanęła na sopockiej scenie, publiczność przywitała ją wielkimi brawami. Karin zrozumiała, że w Polsce wciąż ma dla kogo śpiewać. To był wspaniały koncert, widownia domagała się kolejnych piosenek. Karin nie mogła zejść ze sceny. Polska przywitała ją z otwartymi ramionami. Karin była bardzo wzruszona. Potem przyjeżdżała do Polski częściej. Znów śpiewała, występowała. Pisała o niej prasa i znów pisano dobrze. „Powrót legendarnej Atomowej Kaśki", "dynamit nie wietrzeje"! Nie przycichło o niej nawet, gdy ciężko zachorowała. Wciąż dostawała zaproszenia na koncerty. Ale Karin nie miała już siły śpiewać. Zmarła 15 lutego 2011 roku w Wolfenbüttel w Niemczech.

Pozostawiła po sobie mnóstwo piosenek. Fani o niej nie zapomnieli.

Bytom o Karin też nie zapomniał, a cherubinki, które wciąż spotkać możesz w okolicy dawnego domu Karin, codziennie nucą jej piosenki. Tylko musisz naprawdę mocno się wsłuchać, bo dawna ulica Freiheitstraβe to obecnie ulica Piłsudskiego czyli najruchliwsza i najgłośniejsza ulica w Bytomiu. Zresztą, zupełnie jak Karin.

Niedawno widziałam tam drobną dziewczynkę z warkoczykami, ubraną w białą bluzkę i czarne spodnie. Na plecach niosła gitarę. Skręciła w ul. Korfantego, a to tylko kawałek od placu noszącego imię Karin Stanek, gdzie stoi rzeźba przedstawiająca właśnie ją – Karin, z nieodłączną, wielką gitarą.

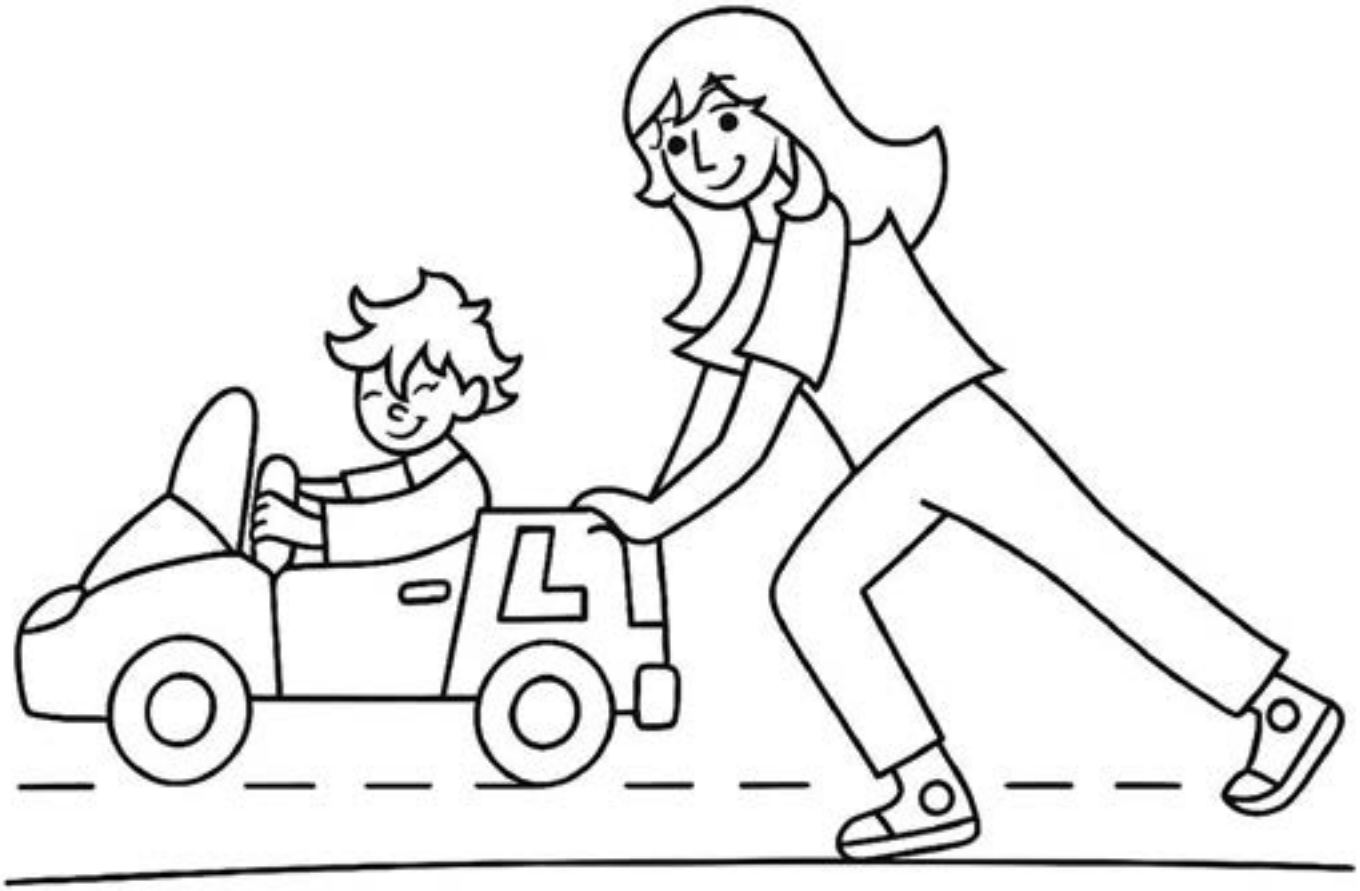

MAGDALENA STICH

Magda ma wielką moc. Magda prowadzi gabinet na kółkach – uczy w nim jak sięgać po niezdobyte i spełniać własne marzenia.

Wojtek od zawsze kochał samochody. Gdy tylko urósł na tyle, że mógł podróżować na przednim siedzeniu, nie było już mowy, żeby kiedykolwiek jeszcze siadł na tyłach pojazdu. Musiał zawsze widzieć drogę i co się na niej działo. Bacznie obserwował wszystkich kierowców. Z uwagą przyglądał się swojemu tacie, gdy kręcił kierownicą i wykonywał wszystkie te ruchy, które z tajemniczą pewnością siebie wykonują doświadczeni kierowcy. Wojtek podziwiał tatę. Spędzali razem wiele godzin w garażu. Narzędzia, śrubki i wszystkie garażowe drobiazgi miały tam swoje miejsca. Gdy czasem tata odłożył coś gdzieś indziej, Wojtek od razu przekładał rzecz do właściwej przegródki. Zanim Wojtek poszedł do szkoły, wiedział doskonale, z czego składa się samochód – co jest pod maską, jak działa silnik czy alternator. W pierwszej klasie sam wymieniał żarówki w samochodzie, gdy kończył trzecią klasę, umiał – bez pomocy dorosłego – wymienić koło, w piątej radził sobie z klockami i przymierzał się do naprawy hamulców. Ale to, co najbardziej zdumiewało wszystkich wokół, a szczególnie Pana Janka z warsztatu samochodowego, do którego czasem odstawiał swoje auto tata Wojtka, to to, że ten chłopak zawsze stawiał bezbłędną diagnozę. Wojtek wsłuchiwał się w dźwięki samochodów jak w najszlachetniejszą muzykę, potrafił dokładnie wychwycić fałszywe tony i umiejscowić ich źródło wewnątrz pojazdu. Zamiast bawić się z kolegami na podwórku, zabierał z domu latarkę czołówkę i gdy nikt nie widział wsuwał się pod samochody sąsiadów, żeby przyjrzeć im się z bliska, dotknąć i poczuć zapach zużycia samochodowych płynów. Wcześniej wszystko dokładnie sprawdzał na schematach – rozrysowanych szkieletach samochodów. Potrafił zapamiętać wszystkie szczegóły. Gdy więc wchodził pod samochód wiedział na co patrzy. Mama Wojtka nie była zachwycona tymi zabawami, a sąsiedzi, gdy planowali gdzieś pojechać, z przestrachem zaglądali pod swoje auta, żeby sprawdzić czy przypadkiem nie ma tam Wojtka. Ktoś mógł przecież kiedyś Wojtka przejechać. Wojtek zupełnie o tym nie myślał. Samochody były ważniejsze. Z roku na rok coraz bardziej. Gdy był już na tyle duży, że mógł zasiąść za kółkiem i uczyć się jeździć, stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Choć doskonale znał się na samochodach, wszystkie schematy miał w małym paluszku, pojazdy nie miały przed nim żadnych tajemnic, a kodeks ruchu drogowego recytował z pamięci wyrwany ze snu…

Wojtek nie był w stanie ruszyć z miejsca. Przez kilka tygodni, tata i Wojtek wsiadali razem do samochodu i jechali na wielki parking po starej giełdzie w pobliżu Wzgórza św. Małgorzaty. Tam się przesiadali – Wojtek zasiadał na miejscu kierowcy, a tata obok niego. Czasem Wojtkowi udało się przejechać kilka centymetrów, ale potem za każdym razem silnik samochodu gasł, a chłopiec nie był w stanie wprawić go ponownie w ruch. Wojtek nie rozumiał, tata nie rozumiał i nawet Pan Janek nie rozumiał tej sytuacji. Wojtek czuł się fatalnie. Tata Wojtka czuł się równie źle. Pan Janek natomiast intensywnie myślał. Wiedział, że Wojtek jest wyjątkowym dzieckiem. Wiedzieli o tym jego rówieśnicy z osiedla i wszyscy sąsiedzi. Wojtek był w spektrum autyzmu. Komuś, kto nie znał Wojtka, mogło wydać się, że chłopiec jest dziwny, ma bzika, może jest chory albo po prostu jest źle wychowany. Ale żadna z osób, które znały Wojtka, nie używała takich określeń. Wojtek nie był ani chory, ani dziwny, ani tym bardziej źle wychowany. Nie miał też bzika. Był natomiast atypowy czyli jego umysł rozwijał się inaczej niż większość umysłów jego rówieśników. Nie zawsze Wojtek umiał sobie z tym poradzić. Często denerwował się na siebie, na otoczenie… szczególnie, gdy nie potrafił czegoś zrozumieć albo zrobić. Wtedy najczęściej krzyczał, uderzał w coś, albo rzucał tym, co stało akurat obok. I mnóstwo razy zdarzyło się, że miał potrzebę odepchnięcia od siebie osoby, która w takich momentach stała zbyt blisko. Tak też było za każdym razem, gdy próbował zapalić silnik samochodu i ruszyć. Wojtek gniewnie odpychał od siebie kierownicę, ale samochód nie reagował, potem przenosił gniew na tatę, przepychając go w stronę drzwi pasażera. Któregoś dnia tata Wojtka poddał się. Doszedł do wniosku, że choć jest jednym z lepszych kierowców, nie jest w stanie nauczyć Wojtka prowadzenia samochodu. Nadszedł czas, żeby znaleźć dla chłopca nauczyciela. Wojtek nie lubił zmian. Nie lubił też poznawać nowych ludzi. Stresował się tym wszystkim i denerwował. Jednocześnie marzył o tym, żeby jeździć, a w pierwszej kolejności zdać egzamin na prawo jazdy (najpierw na samochód osobowy, a potem na autobus). Nie chciał uczyć się z kimś obcym, ale wiedział, że tym razem nie uda mu się pokonać przeszkody tylko z tatą.

Wtedy pan Janek przypomniał sobie o swojej nowej klientce – pani Karolinie. Tak naprawdę panią Karolinę znał bardzo długo, ale dopiero od niedawna mógł opiekować się w warsztacie jej pojazdem. Pani Karolina przez ponad siedem lat próbowała zdać egzamin na prawo jazdy. Umiała jeździć, znała wszystkie przepisy, ale stres wciąż ją blokował podczas egzaminów. Gdy była już bardzo zniechęcona i załamana sytuacją, poznała Magdę. Magda jest instruktorką nauki jazdy, szkoli każdego, kto chce zostać dobrym kierowcą. Kiedy pani Karolina spotkała się z Magdą, od razu poczuła, że jest w dobrych rękach i we właściwym samochodzie. To nie egzamin powinien być celem kursu, a umiejętności i wiedza – powiedziała jej wtedy Magda. Magda ma taką tajemną moc, która sprawia, że jej pojazd na czas lekcji zamienia się w prawdziwy gabinet terapeutyczny.

W czasie jazdy kursanci i kursantki nie tylko uczą się prawidłowego prowadzenia samochodu, ale też pracują nad swoimi lękami, smutkami i wszelkimi ograniczeniami, które oddzielają ich od zdobycia prawa jazdy. Nikt nie wie jak to działa, ale dzieje się i z każdym kolejnym tygodniem wieść o super mocy Magdy zatacza coraz większe kręgi. Osoby przychodzą na kurs, słuchają, uczą się, wsiadają z nią do samochodu i jadą. Pokonują własne bariery i suną po zwycięstwo. Tak było z panią Karoliną, jej koleżankami i innymi wyszkolonymi przez Magdę kierowcami. Wojtek powinien poznać Magdę – pomyślał Pan Janek. Tylko Magda będzie wiedziała, jak pomóc Wojtkowi.

Początkowo tata Wojtka nie był przekonany. Obawiał się, czy syn poradzi sobie z nową sytuacją. Jednocześnie nie wierzył w umiejętności instruktorki. W jego zawodzie rzadko spotykało się kobiety. Zresztą do dziś kobieta za kółkiem wielkogabarytowego pojazdu wzbudza sensację. Uważał, że samochód, to nie jest właściwe miejsce pracy dla kobiety. Mama Wojtka nie wypowiadała się na ten temat. Miała żal do swojego męża o wszystkie żartobliwe uwagi na temat kobiet za kierownicą. Ale w środku zaczęła w niej kiełkować nadzieja. Czuła, że nawiązanie kontaktu z Magdą, to najlepsza decyzja. Kto wie – może nadzieja i dla niej? Tata Wojtka obdzwonił wszystkie szkoły w mieście, lecz w żadnej nie chcieli przyjąć chłopca. W końcu postanowił przemilczeć wyjątkowość syna i odszukał numer telefonu przekazany mu przez pana Janka. Kobieta jednak nie odebrała. Tata Wojtka odetchnął z lekką ulgą. Ale Magda oddzwoniła po paru godzinach, wyrywając tatę Wojtka z popołudniowej drzemki. Nie zdążył nawet zorientować się, co się dzieje. Rozmowa z Magdą była krótka i rzeczowa. Ustaliła datę, miejsce pierwszego spotkania, wyjaśniła czego oczekuje i tyle. Ależ zapracowana i dobrze zorganizowana osoba – pomyślał tata Wojtka, gdy instruktorka się rozłączyła.

Dwa dni później już wiózł syna na spotkanie z Magdą. Był sobotni poranek, jezdnia po nocy wciąż wilgotna od rosy... Wojtek nerwowo przyglądał się mijanym pojazdom, a palcami prawej dłoni rytmicznie stukał o drzwi od strony pasażera. Gdy dojechali na miejsce kobieta już na nich czekała – zawsze jest wcześniej, bo nie lubi się spóźniać. Wojtek unikał z nią kontaktu wzrokowego. Nie chciał nawet podać ręki na przywitanie. Magda jednak zupełnie się tym nie przejęła, choć doskonale zapamiętała. Wnikliwie rejestrowała każdy szczegół. Robiła tak z każdym nowym kursantem. Podczas teoretycznych lekcji, gdy wykładała podstawy i kodeks ruchu drogowego, bacznie przyglądała się zebranym. Analizowała ich zachowanie, nawyki. Instynktownie wyczuwała, kto z czym przyszedł – tak mówiła o blokadach i problemach swoich uczniów. Oczami wyobraźni widziała, jak rozkładają na ławkach swoje wypakowane walizki, z których wyjmują własne lęki i frustracje. Od czasu, gdy została instruktorką nauki jazdy, bardzo dużo nauczyła się o ludziach i o tym, jak działa ich umysł. Wypracowała własne metody pracy. Bycie instruktorką nie jest wymuszone. Jest elastyczna – dopasowuje się naturalnie do drugiego człowieka. Osoby, które szkoliła,

mówią, że Magda ma w sobie dużo tolerancji, wyrozumiałości i cierpliwości do kursantów. Natomiast poza samochodem jest zupełnie inna. Nie cierpi kolejek, tłumów w sklepie (zakupy robi zwykle wieczorem tuż przed zamknięciem – nie dlatego, że tak długo pracuje, ale wieczorem w sklepach najczęściej jest już pusto). Wojtek też woli robić zakupy, gdy w sklepie nikogo nie ma. Nie lubi ostrych świateł i głośnej muzyki. Podczas zajęć cały czas zastanawiał się, jak to wszystko powiedzieć Magdzie. Już na pierwszym wykładzie kazała wszystkim mówić do siebie po imieniu. Wojtek miał od tego gęsią skórkę. Przecież ma być jego nauczycielką, jest kobietą i jest starsza. Zupełnie mu to nie odpowiadało. Nie wiedział, czy kiedykolwiek samo imię instruktorki przejdzie mu przez gardło. Na wykładach siedział cicho, z nikim nie rozmawiał, starannie notował wszystko, czego jeszcze nie wiedział. Tata bardzo dobrze wyjaśnił mu większość problemów i zasad ruchu drogowego. Pani Magda… (Wojtek zaciął się) Magda miała jednak dodatkowo rozrysowane schematy i omawiała z nimi wszystkie możliwe scenariusze. Wojtek zapamiętał bezbłędnie każdą sytuację. Powoli układał sobie wszystko w głowie. Gdy wykłady się skończyły, odetchnął z ulgą – choć w sali nie było tłumu, to jednak zawsze czuł się nieswojo. Nie wiedział, gdzie uciekać, gdy inni kursanci próbowali nawiązać z nim rozmowę. Magda wszystko to widziała i zapamiętywała. Ponieważ tata Wojtka nie uprzedził jej, początkowo nie wiedziała, w czym rzecz. Do głowy przychodziły jej różne myśli, włącznie z tym, że może sama czymś zraziła do siebie chłopca. Dopiero po trzecim spotkaniu zrozumiała, że wszystko jest w porządku, a żeby otworzyć Wojtka, trzeba sięgnąć po zupełnie inny klucz. Przy najbliższej okazji pojechała więc z kursantką do centrum Bytomia, poprosiła o zaparkowanie pod Wydziałem Kultury przy ul. Smolenia. Magda celowo wybrała tę lokalizację – kursantka miała dopiero rozpocząć naukę parkowania, a w tym miejscu z prawego pasa zjeżdża się również w prawo, po skosie w parking. To najłatwiejsze parkowanie, w sam raz na początek. Magda lubi zabierać tu swoich uczniów. W ulicę Smolenia wjeżdżają zawsze od strony ul. Żeromskiego i kościoła św. Jacka. Pokonują wspaniałą starą poniemiecką kostkę brukową i do tego przez przednią szybę podziwiają kamienną bryłę ponad stuletniego kościoła. Gdy kursantka zaparkowała, Magda na chwilę wyszła z samochodu. Odebrała niewielki pakunek od kobiety, która czekała na nią po drugiej stronie ulicy i wróciła do auta. Omówiła z kursantką kwestię parkowania, pogratulowała doskonałego manewru i wyjaśniła, jak włączyć się do ruchu. Pospiesznie wyjęła z torby to, co przekazała jej przed chwilą nieznana uczennicy kobieta. Były to dwie książki o osobach w spektrum autyzmu i o tym, jak z nimi pracować. Magda chciała jak najlepiej przygotować się do lekcji z Wojtkiem. Na szczęście niedawno szkoliła córkę kobiety, która pracuje w bibliotece znajdującej się tuż obok Wydziału Kultury. Była kursantka, a obecnie dumna kierowczyni niewielkiego, dwudrzwiowego pojazdu, poprosiła mamę, żeby wypożyczyła dla Magdy fachową literaturę. Czuła ogromną wdzięczność dla instruktorki za to, że ta razem z nią wspięła się na życiowy szczyt i pomogła perfekcyjnie opanować jazdę samocho-

dem. Pani bibliotekarka odczuwała ogromną dumę z córki. Sama nigdy nie odważyła się pokonać swoich strachów z młodości, ale od pewnego czasu intensywnie myśli, żeby poprosić Magdę o pomoc. Słyszała od swoich koleżanek z pracy, że dzięki Magdzie egzamin na prawo jazdy zdała też ich wspólna znajoma. Kobieta miała 55 lat, kiedy razem z Magdą wyjeździła w samochodzie ponad 150h. Po czym poszła na egzamin i... go zdała. Teraz wreszcie samodzielnie dojeżdża do pracy i na zakupy. Znajome opowiadały, że nawet zaczęła jeździć w dłuższe trasy i zwiedzać Śląsk. To wszystko zasługa Magdy! Zawsze w czasie kursu zabiera uczniów na dłuższe wycieczki. Czasem jadą do Cieszyna na smażony ser i naleśniki z czarnym bzem, albo do Górek Wielkich na najlepsze lody. Kiedyś wybrała się też do Częstochowy na ulicę Frytkową, żeby pokazać kursantom, jak smakują prawdziwe frytki, zupełnie inne od tych, które młodzi znają z fast foodów.

Z Wojtkiem natomiast zaplanowała wyjazd do Będzina. Nie tak daleko, ale też nie tak krótko, bo na miejscu czekało na niego coś specjalnego. Wiedziała, że chłopiec nie lubi niespodzianek, zatem każdą lekcję rozpoczynała z nim od tego samego schematu. Wyłączała samochodowe radio i krok po kroku tłumaczyła, co należy zrobić, wsiadając do samochodu. Jakie manewry będą dziś trenować, w jakie miejsca pojadą i co może wydarzyć się po drodze. Mówiła też, jak w takich sytuacjach powinien się zachować. Oczywiście zawsze podkreślała, że na drodze może wydarzyć się wszystko i nigdy nie da się przewidzieć dokładnego scenariusza. Tego Wojtek obawiał się najbardziej. Magda nie chciała dodatkowo denerwować chłopca, więc w dniu, w którym zaplanowała wycieczkę do Będzina, powiedziała mu prawdę. Pominęła tylko jeden drobiazg. Objaśniając trasę do Będzina i wskazując cel podróży, czyli Izbę Tradycji Komunikacji Miejskiej przy ul. Promyka 30, nie powiedziała chłopcu, że na miejscu będzie miał możliwość usiąść za kółkiem starego Ikarusa i współczesnego Mercedesa. Decyzję pozostawiła Wojtkowi, licząc po cichu, że chłopak zdobędzie się na odrobinę spontaniczności. Trasę z Bytomia do Będzina Wojtek przejechał w dobrym nastroju i wzorowo. Już na drugich jazdach Magda zdążyła się przekonać, że Wojtek będzie kierowcą idealnym – pilnuje prędkości, zauważa i respektuje wszystkie znaki drogowe. Pamięta też o wszystkich innych zasadach ruchu drogowego. Początkowo miał trudność z koordynacją ruchową – nie potrafił jednocześnie wykonać paru czynności, dlatego m. in. ciągle gasł mu samochód. Magda jednak i na to znalazła sposób. Dokładnie przeczytała książki z biblioteki, wysłuchała kilku podcastów o neuroróżnorodności i prześledziła wywiady z kierowcami w spektrum. Wszystko to pomogło jej w opracowaniu własnej metody pracy z atypowymi uczniami. Metoda okazała się skuteczna, ponieważ wystarczyła jedna lekcja i Wojtek zdołał poczuć samochód. A 30 wyjeżdżonych godzin później zdał egzamin na prawo jazdy – i to za pierwszym razem! Po nim do tego ośrodka kształcenia kierowców trafiło jeszcze kilku chłopców z podobnym darem wyjątkowości. Wszyscy zdali egzaminy w pierwszym terminie. Zupełnie inaczej niż ona sama. Bo musisz wiedzieć, że Magda podchodziła do egzaminu pięć razy.

Dużo, jak na instruktorkę? Dla uczniów, którzy trafiają do niej po wcześniejszych nieudanych próbach, ta informacja jest pokrzepiająca, daje nadzieję. Magda pomaga im uwierzyć, że w każdym drzemie moc i warto walczyć do końca. Powtarza: „jedźcie tam, gdzie wzrok nie sięga" i jadą. Zdają i dzielą się tą mocą z następnymi. I tylko czasami, gdy w duszy robi się jakoś tak szarzej, tęsknią za gabinetem na kółkach i kojącym głosem instruktorki Magdy…

MARIA KULAWIK

Maria ma wielką moc. Mocą Marii jest dobro.
Im bardziej dzieli się nim ze światem, tym więcej ma go wokół siebie.

Jest ciepłe sierpniowe popołudnie. Drzewa i trawa mają odcień soczystej zieleni. Promienie słońca przedzierają się przez gęste listowia ogrzewając parkowe ścieżki. Wokół miechowickiego pałacu zebrało się mnóstwo ludzi. Dużych i małych. Na ulicy zatrzymał się wielki, czerwony wóz strażacki, a kilka metrów dalej ktoś ustawił biały wózek z lodami. Do Miechowic zleciały się pszczoły z okolicznych pasiek i pojedynczych uli. Przyjechali pszczelarze, przyjechały pszczelarki, przybyło bardzo dużo gości. „Wre jak w ulu" – z poważną miną powiedziała do siebie strażaczka. Nic dziwnego, to Święto Pszczół – wielki festiwal pszczelarstwa, miodobrania i wdzięczności.

Wzdłuż ulicy Dzierżonia w długiej kolejce stoją zaparkowane samochody.

Z jednego z nich energicznie wyskoczyło rodzeństwo. Stanęli na chodniku rozglądając się po okolicy. Ich mama wyjmowała właśnie z bagażnika torbę z prowiantem i drobiazgami, gdy maluchy zauważyły coś interesującego. Korzystając z okazji, że Pani Mama na ułamek sekundy odwróciła wzrok, Antoś i Zuzanka szybko dali nogę. To znaczy - uciekli. Nie byliby sobą, gdyby tego nie zrobili. Zawsze uciekają. Pani Mama biega wtedy przerażona i głośno woła każde ze swoich dzieci. I choć już przeprowadziła z nimi wiele rozmów na temat bezpieczeństwa, maluchy nadal robią jej tę samą psotę. Pani Mama zarzuciła więc na ramię torbę i ruszyła na poszukiwania. Minęła stoisko z pachnącymi, ręcznie wyrabianymi miodowymi mydełkami. Między stoiskiem z lemoniadą, a warsztatem świec z pszczelego wosku, potknęła się o ramki z plastrami miodu. Ledwie zauważyła, że w środku ciężko pracowała rodzina pszczół. Po drugiej stronie ścieżki spostrzegła ławę z degustacją miodów i loterią fantową. W tym samym momencie pod stolikiem mignęła jej bujna ciemna czupryna Antosia i złote loki Zuzanki. Już miała oboje na wyciągnięcie ręki, gdy Antoś pociągnął energicznie Zuzankę i czmychnęli w lewo, prosto w najwyższą trawę. Pani Mama nie zdążyła, drogę zatarasowali jej wolno poruszający się, dużo od niej starsi ludzie, chyba podopieczni jednego z miechowickich domów opieki. Zagryzła wargi, stanęła na palcach i zaczęła wypatrywać, w którym miejscu dwa maluchy wynurzą się z wysokiej trawy. Są! Teraz na pewno ich złapie. Antoś i Zuzanka wyłonili się tuż obok powalonego, potężnego konara, który kiedyś był częścią starego, rozłożystego klonolistnego platana. Konar idealnie wkomponował się w tę

część Parku Tiele-Wincklerów, stając się ulubionym miejscem zabaw dzieci, odwiedzających miechowicki pałac. Platan, choć bez konara wygląda jak bez ręki, nadal dumnie stoi na swoim miejscu. Najstarsi mieszkańcy Miechowic powiadają, że ma już około 300 lat. Jest nie tylko bardzo stary, ale też wysoki i szeroki. Antoś i Zuzanka próbowali kiedyś objąć drzewo, ale nie starczyło im rąk. Gdy razem z nimi zrobiła to również ich mama, też się nie udało. Dopiero wraz z ciocią (siostrą Pani Mamy) i z Przewodniczką byli w stanie stworzyć odpowiedni pierścień. Podczas wycieczki dowiedzieli się, że drzewo ma w obwodzie ponad 640 cm! Pani Przewodniczka, która pracuje w pałacu, powiedziała, że miechowicki platan jest pomnikiem przyrody i nazywa się Platanem Jana III Sobieskiego. Drzewo dostało takie imię na cześć króla Jana III Sobieskiego, który w 1683 roku podczas odsieczy Wiednia maszerował ze swoimi wojskami przez Bytom.

Dzisiaj podczas Święta Pszczół, gdy słońce mocno prażyło, drzewo dawało doskonałe schronienie. Na trawie leżały porozkładane koce piknikowe, a na nich rodziny z dziećmi częstowały się miodowymi przysmakami. Po drugiej stronie drzewa, a bliżej parkowej alejki, stanowisko rozłożył bytomski pszczelarz, Pan Marek. Nie wszyscy wiedzą, że na dachu szkoły, która stoi po drugiej stronie ulicy, w bliskim sąsiedztwie pałacu, pszczoły Pana Marka mają swój domek. Antoś i Zuzanka są częstymi gośćmi pałacu, znają więc sekret o pszczelim domku na dachu szkoły. Antoś powiedział kiedyś, że jak dorośnie, to też będzie mieszkać w szkole. Zuzanka zupełnie tego nie zrozumiała. Dom jest tam, gdzie jest mama, a nie szkoła – powtarzała. Zuzanka była wtedy bardzo mała i nie pamiętała, że Pani Mama pracuje w szkole. Pani Mama bardzo lubi uczyć dzieci i lubi sama się uczyć, dlatego często bierze udział w kursach i w warsztatach. Któregoś dnia Pani Mama razem ze swoją siostrą, Antosiem i Zuzanką trafili do Muzeum Górnośląskiego w centrum Bytomia. Na tyłach budynku znajduje się niewielka kwietna łąka, na której stoją ule. Tłem dla uli jest kolorowa mozaika przedstawiająca wielki ul, pszczoły i tę niewielką kwietną łąkę. W tym miejscu Pan Marek razem z żoną, Marią, prowadzą warsztaty pszczelarskie. Antoś był oczarowany, gdy założył kapelusz pszczelarza i razem z Panem Markiem mógł wyjąć z ula plaster miodu. Wcześniej dowiedział się, że pszczoły to zwierzęta gospodarskie i trzeba mieć specjalne pozwolenie, żeby móc hodować je w mieście. To bardzo ciekawe. Antoś wie dużo o gospodarstwie. Ma dziadka, który w górach prowadzi prawdziwe gospodarstwo. Jest tam wielki traktor, stodoła i inne drewniane zabudowania, w których dziadek hoduje różne zwierzęta. Ale nie pszczoły. Antoś i Zuzanka lubią pomagać dziadkowi w codziennych obowiązkach i słuchać jego przyrodniczych opowieści. Gdy więc Pani Maria wyjęła książeczki o pszczołach, Antoś i Zuzanka otoczyli ją i z zaciekawieniem zaczęli przyglądać się ilustracjom, i słuchać miękkiego, kojącego głosu Pani Marii. Z książeczek dowiedzieli się, że pszczoły żyją we wspólnocie i choć mają swoją królową, to o wszystkim decydują wspólnie, całą swoją wielką, pszczelą rodziną. Komunikują się ze sobą tańcząc, a każdy ruch ma określone znaczenie.

Pani Maria pokazała dzieciom ilustracje, na których zobaczyły pszczołę robotnicę, trutnia i królową pszczół. Zuzanka dotknęła obrazka paluszkiem i poczuła, że coś ją łaskocze. Pani Maria wyjaśniła, że powierzchnia skóry pszczoły pokryta jest włoskami różnej grubości i kształtu. Włoski chronią pszczołę, pomagają jej czyścić ciało, a także zbierać pyłek kwiatowy. Pani Maria sięgnęła do specjalnej skrzyneczki, z której wyjęła niewielkie szklane pudełeczko z pszczołami. Ilustracje w książkach były duże, więc można było dostrzec każdy szczegół.

W pudełeczku natomiast były pszczoły naturalnych rozmiarów. Obok nich znajdował się też szerszeń i osa. Dzieci dowiedziały się, czym różnią się od siebie te zwierzątka i dlaczego są tak ważne dla ekosystemu. Z zajęć w miechowickim pałacu wiedziały już czym jest ekosystem. Na koniec, pod czujnym okiem Pani Marii, dzieci mogły zrobić swoje własne świece z pszczelego wosku. Wszystko pachniało miodem i pyłkiem. Słodki smak miodu i jeszcze słodszy głos Pani Marii zapadł Antosiowi i Zuzance głęboko w serce i w pamięci. Przez najbliższy tydzień codziennie dopytywali się, kiedy znów pójdą do Pszczelarzy, a ponieważ oboje nie umieli jeszcze wyraźnie mówić, niektóre słowa brzmiały dość zabawnie. Pani Maria została więc dla Antosia „Psielalką Mają", a dla Zuzanki „Klólową", wkrótce jednak wszyscy zaczęli nazywać ją po prostu Królową Pszczół.

Gdy w sierpniowe popołudnie Antoś i Zuzanka, wspinając się po konarze leżącym w cieniu Platana Jana III Sobieskiego, dostrzegli w pobliżu swoją ukochaną Królową, szybko zeskoczyli z drzewa i pobiegli się z nią przywitać. Królowa siedziała na kocu piknikowym, a wokół niej leżało całkiem sporo książek. Zuzanka zauważyła, że Królowa ma na sobie bluzeczkę z błyszczącymi pszczółkami. Brokatowe owady zachwyciły Zuzankę. Antosia natomiast zainteresowały książki. Część z nich już znał, ale było tam też trochę nowości. Zaczął szybko je przeglądać. Każda - jak zawsze - dotyczyła pszczół. Bajki, opowiadania, kolorowe obrazki, ilustracje, mapy i wszędzie pszczoły oraz ule. Antoś wybrał jedną i podał Królowej. Poczytasz nam? – zapytał. Królowa, zdaje się, tylko na to czekała. Udając, że od czegoś się odgania, wzięła książeczkę, poprawiła się na kocu i niezbyt głośno, ale dostatecznie słyszalnie odczytała tytuł: Węglowy pyłek, czyli Matylda na tropie bytomskich pszczół. Antoś i Zuzanka ułożyli się wygodnie obok Marii i wsłuchali się w jej kojący głos. Pani Mama (jak rzadko) spokojna o dzieci siedziała wygodnie na pomarańczowym leżaku i obserwowała, jak z każdym kolejnym słowem wokół Marii powiększa się wianuszek dzieci. Wszystkie, wiedzione zaczarowaną melodią głosu Marii i tajemniczą historią Matyldy, kładąc się albo siadając po turecku na kocu, zanurzały się w jej opowieść. Pani Mama pomyślała – nie pierwszy zresztą raz – że Maria to naprawdę wyjątkowa kobieta. Prawdziwa Królowa. Królowa dobra. Dzieci wszystko chłoną i czują bardziej. Mają w sobie radar, którym bezbłędnie namierzają dobrych ludzi. Maria daje im swój czas, swoją uwagę, dzieli się swoją wiedzą. Pani Mama czuje wdzięczność. Wszyscy rodzice, którzy tak jak Pani Mama przysłuchują się czytanej przez Ma-

rię opowieści, zaczynają czuć podobnie. Bohaterką utworu jest Matylda, młoda dziewczyna, która niedawno zamieszkała w Bytomiu. Początkowo nie ma ona serca do tego miasta. Wydaje jej się brudne, głośne, zaniedbane i zbyt duże. Pewnego dnia, wszystko zmienia się za sprawą zagubionej pszczoły. Matylda znalazła za wycieraczką swojego samochodu ogłoszenie. W Bytomiu zaginęła pszczela królowa, bardzo cenny okaz. Właściciel prosi o pomoc w poszukiwaniach. Jako, że sama była wielką miłośniczką pająków, od razu poczuła, że nie może zignorować tej wiadomości. Ktoś równie zakochany w przyrodzie jak ona, potrzebuje wsparcia. Szybko ruszyła na poszukiwania. Dzięki temu zaczęła odkrywać w Bytomiu nowe miejsca, ludzi, ich historie. W trakcie pszczelej przygody zdała sobie sprawę, że pod warstwą dawnego węglowego pyłu, kryje się piękne miasto, w którym mieszkają fajni ludzie… i to dzięki nim Bytom pięknieje.

To był dobry dzień – pomyślał Pan Marek sprzątając stoisko po zakończonym Święcie Pszczół. To był dobry dzień – powiedziała głośno Maria i czule ucałowała męża.

NASA

MARZENA ROGOZIŃSKA

Marzena ma wielką moc. Jej mocą są nieziemskie pokłady energii, dzięki którym potrafi zaglądać bardzo głęboko w kosmos.

Z oddali słychać było coś przypominającego rzężenie samochodu. Z każdą kolejną minutą dźwięk stawał się coraz bardziej wyraźny. Po chwili dwa delikatne promienie światła wyłoniły się zza ciemnej linii oddzielającej łąkę od lasu. W tym miejscu biegła szosa. Zdecydowanie tym, co zakłóciło nocny spokój, musiał być czyjś samochód. Wszystkie istoty zamieszkujące Park Gwiezdnego Nieba wiedziały, co to oznacza. O tej porze nie trafiali tutaj przypadkowi ludzie. Osoba za kierownicą wolno toczącego się pojazdu, zmierzała w głąb Parku celowo. Niestety, nie zawsze przybywający tu goście szanowali życie mieszkańców tego miejsca, dlatego każde pojawienie się obcego budziło w istotach niepokój.

Wreszcie czterokołowiec zatrzymał się na niewielkim parkingu. Najpierw zgasły światła, a następnie ucichło rzężenie, co wskazywało na to, że osoba kierująca pojazdem wyłączyła silnik. Na moment wszystko spowiła ciemność i cisza.

W tym miejscu na ziemi ciemność i cisza są zupełnie inne. Są głębsze, ciemniejsze i cichsze niż gdziekolwiek indziej. Nie minęło jednak kilka sekund, a w środku pojazdu pojawił się delikatny czerwony promień. Taką czerwień nosiły przy sobie tylko Osoby Które Wiedziały. Czerwony promień nie rozpraszał uwagi istot zamieszkujących Park Gwiezdnego Nieba. Nie wkradał się gwałtownie w ich oczy i nie sprawiał im bólu. Istoty zamieszkujące Park Gwiezdnego Nieba reagowały przyjaźniej na każdego przybysza, przy którym tliła się ta czerwień.

Wtem drzwi samochodu otwarły się. Istoty mają dużo bardziej wyczulone zmysły niż ludzie. Żaden dźwięk nie ujdzie ich uwagi. Każdy, najdrobniejszy, najbardziej bezgłośny szelest dotrze do ich uszu. Z tego powodu doskonale słyszały skrzypnięcie zawiasów, którego kierowca pojazdu nie dałby rady wychwycić.

I pewnie dlatego jedną z podstawowych zasad każdego gościa w świecie przyrody jest zachowanie ciszy. W Parku Gwiezdnego Nieba należy jeszcze szczególnie ostrożnie obchodzić się ze światłem, a najlepiej go unikać. Pod osłoną nocy zaczyna się największy ruch, a to wymaga właśnie najcichszej ciszy i najciemniejszej ciemności.

W tym momencie z pojazdu szybko wyskoczyła postać. Jak się okazało, była to drobna dziewczyna o jasnych włosach, upiętych na czubku głowy. Przybyszka poprawiła spoczywające na nosie okulary, szybko omiotła spojrzeniem okolicę, wzięła

głęboki wdech i bardzo wolno wypuściła z siebie powietrze. Postała tak chwilę, chłonąc głębię ciszy i ciemności, po czym podeszła do bagażnika swojego samochodu. Otworzyła tylną klapę i zaczęła wyjmować ze środka różne przedmioty. Istoty wyczuły znajomy zapach. Już wiedziały, że dziewczyna nie jest tu pierwszy raz. Rozpoznały ją. To Marzena. Na asfalcie zaczęły z wolna lądować: turystyczne krzesło, stolik, śpiwór, plecak i torba, która musiała być ciężka i delikatna, gdyż Marzena włożyła więcej energii w jej wyciągnięcie i ułożenie na ziemi. Na koniec wyjęła coś naprawdę dużego, co istoty widywały tu w Parku bardzo często. Te przedmioty wyglądały jak kawałki pociętych pni drzew, ale bywały w różnych kolorach, zupełnie innych niż kora. Ludzie stawiali je i nocą, i za dnia, nachylali się nad nimi, przytykali oko do odstających elementów, kręcili czarnymi kółkami i zachwycali się. Za chwilę Marzena również będzie się tak zachwycać. Istoty nie miały żadnych wątpliwości. Niebo było bezchmurne. Z księżyca pozostał tylko bardzo cienki, ledwie zauważalny rogalik. Doskonałe warunki. W taką noc działy się rzeczy tajemne. Istoty, tak jak ludzie, zaglądały głęboko w niebo i zachwycały się tym, co przygotowała Matka Natura. Marzena zabrała sprzęt z parkingu i przeniosła go nieco dalej, na łąkę. Rozłożyła niewielki obóz. Wyjęła z torby i plecaka różne mniejsze przedmioty i wszystko ułożyła na stoliku. Każdy miał swoje miejsce. Marzena miała plan, swój własny schemat. Przyjrzała się wszystkiemu uważnie, sprawdziła raz jeszcze. Zabrała ze stolika kwadratową skrzyneczkę ze sznurkiem, który przewiesiła przez szyję i zgasiła czerwoną lampkę. Teraz była zdana na siebie, swoją pamięć i dłonie, którymi namierzała na stole właściwe części. Gdy zaczął się największy ruch na niebie, ona sprawnie odkręcała i przykręcała czarne połyskliwe puszki do zawieszonej na swojej szyi skrzyneczki. Istoty widziały już mnóstwo takich skrzyneczek. Nie miały pojęcia, po co ludzie je mają, do czego są im potrzebne. Drugą podobną skrzyneczkę Marzena przymocowała do trzech długich, jakby pajęczych, nóg. Przytwierdzoną do skrzyneczki połyskliwą puszkę naprowadziła na to, co ludzkie oko odbiera jako wirującą po niebie białą smugę… Dla niektórych istot zamieszkujących Park Gwiezdnego Nieba smuga mieniła się tysiącem barw. Ludzkie oko nigdy nie dojrzy tylu odcieni. Dlatego Marzena próbuje złapać trochę nieba do skrzyneczki. Chce uchwycić i utrwalić ten niepowtarzalny taniec na nieboskłonie. Tam, gdzie mieszka i pracuje, nocą widzi nad głową granatową pustkę. Dzieje się tak, ponieważ niebo nad Górnym Śląskiem jest bardzo zanieczyszczone. Ale nie chodzi o zanieczyszczenia przemysłowe, o sączące się z kominów dymy, choć one również są dużym problemem. Istnieje jeszcze coś takiego, co nauka nazywa zanieczyszczeniem świetlnym. Aglomeracja górnośląska emituje bardzo dużo sztucznego światła. Sztuczne światło nienaturalnie rozjaśnia nocne niebo i utrudnia, a czasem wręcz uniemożliwia, astronomom obserwowanie nieba. Sztuczne światło ma też negatywny wpływ na przyrodę, zaburza jej naturalny cykl. Niektóre zwierzęta i rośliny są bardziej aktywne za dnia, inne nocą, a ponieważ nie potrafią odróżnić sztucznego światła od naturalnego, nie wiedzą czy jest dzień czy noc.

Nie potrafią wyregulować swojego codziennego rytmu, tracą czujność i w końcu giną. Istoty z Parku Gwiezdnego Nieba żyją w rezerwacie – to znaczy, że są pod szczególną ochroną. Ludzie robią tam wszystko, żeby nocą zachować naturalną ciemność. Marzena czuje wdzięczność. W takich chwilach, gdy jest sama, a wokół dzieją się rzeczy ważne, niezwykłe i naprawdę wyjątkowe, Marzena jeszcze bardziej zakochuje się w tym wszystkim, co daje światu ciemność i cisza.

Zamyka oczy i przypomina sobie dzień, w którym wszystko się zaczęło. Podróżuje od zawsze. Miłości do podróżowania nauczyli ją rodzice. Mieszkali wtedy na jednym z bytomskich osiedli, nieopodal wysokiego, kopalnianego szybu Krystyna. Żadnego wolnego dnia nie spędzili w domu. Pakowali plecaki i razem z psem – domowym przyjacielem – ruszali w drogę, czasem krótką, niekiedy kilkudniową. Marzena, jest więc dzieckiem drogi. Jest istotą w ruchu. Trudno ją zatrzymać, jeszcze trudniej złapać. Życzliwi ludzie powiadają, że jest w niej dużo z kosmosu.

Gdy na początku 2020 roku cały świat spowiła pandemia, a wszystko stanęło w miejscu, również podróżowanie stało się niemożliwe. Zatrzymanie się było dla niej wielkim problemem, pozbawiło ją wolności i powietrza. Z chwilą, gdy tylko pojawiła się możliwość przemieszczania się, Marzena spakowała plecak, zabrała z sobą telefon komórkowy, niewielki statyw i wyruszyła w polskie góry, tam, gdzie znajduje się najciemniejszy zakątek polskiego nieba. Był wtedy aktywny Rój Lirydów, czyli bardzo efektownych i szybkich meteorów, które często są mylone ze spadającymi gwiazdami. Marzena zrobiła zdjęcie telefonem komórkowym i uchwyciła lirydy oraz Drogę Mleczną. Zachwyciła się nie tylko tym, co zobaczyła wówczas na niebie, ale przede wszystkim obrazem, który spostrzegła na ekranie telefonu. Nigdy wcześniej nie widziała tak oszałamiająco kolorowego nieba. Wtedy postanowiła kupić poważniejszy aparat. Tydzień później zrobiła zdjęcie z bardzo wyraźną Drogą Mleczną. To był początek. „Zdjęcia wstydu" – tak Marzena nazywa swoje dwa pierwsze zdjęcia kosmosu. Ale czy należy wstydzić się początków swojej pracy? Nie. To jest droga do rozwoju. Żeby osiągnąć sukces, trzeba cały czas ćwiczyć, uczyć się. A Marzena doskonale się na tym zna. Jest nauczycielką – od lat pracuje w Szkole Podstawowej nr 45 i Szkole Baletowej w Bytomiu. Gdy zapada zmrok zamienia się w prawdziwą łowczynię. Pakuje do plecaka aparat fotograficzny i rusza w teren. Rusza daleko poza bytomskie osiedle, na którym wciąż mieszka. Rusza na łowy w poszukiwaniu mgławic, obcych galaktyk, gwiazd…

W Parku Gwiezdnego Nieba jest naprawdę bardzo ciemno. Marzena przykłada skrzyneczkę do twarzy i naciska guziczek. Robi zdjęcia. Setki zdjęć. Z nich zbuduje kompozycje, stworzy wyjątkowe obrazy. Czuje spokój i błogość. Myśli o tym, co dla niej ważne. Zastanawia się, jak wygląda teraz niebo na drugiej półkuli. Bardzo chciałaby spojrzeć w kosmos z Namibii. Jest wdzięczna, że w obu szkołach, w których pracuje, może liczyć na ogromne wsparcie dla swojej niezwykłej pasji. Jeszcze wtedy nie wie, że ani się obejrzy, a w Lokalu – specjalnej sali mieszczącej się

w murach bytomskiej biblioteki - odbędzie się wernisaż jej kosmicznych zdjęć, „Spoglądając w Kosmos”. U jej boku staną bliscy, rodzina i przyjaciele, przełożeni i bytomscy urzędnicy. Będzie też prezydent Bytomia. Na wystawie znajdą się zdjęcia mgławic, galaktyk, zaćmienia słońca, zorzy polarnej i spektakularne fotografie gwiazd. Będzie też zdjęcie najważniejsze – to, które Marzena zrobiła z 12 na 13 sierpnia 2021 roku w Noc Perseidów. Złapała wtedy „BOLID”, który tak bardzo rozświetlił niebo, że zrobiło się jasno jak w dzień. Za tę fotografię Marzena została wyróżniona przez NASA, a jej dzieło umieszczono w amerykańskim serwisie „Astronomiczne zdjęcie dnia”. Ktoś znajomy napisał pod nim: „Jesteś dla mnie przykładem osoby, która zamarzyła o czymś, zamierzyła coś i niezwykle konsekwentnie przekształciła to w cel, który ciągle realizuje i rozwija.”

Jeśli więc chcesz zobaczyć, jak poluje się z aparatem na Drogę Mleczną i łapie gwiazdy, które nigdy nie spadają… po prostu wybierz się w Bieszczady. Marzena bardzo często wraca do Parku Gwiezdnego Nieba. Bez problemu ją tam odnajdziesz. W Parku Gwiezdnego Nieba wszyscy znają Marzenę: drobną, cichą i skromną blondynkę, energiczną i wyczuloną na piękno natury, nauczycielkę z Bytomia… Tylko pamiętaj o zachowaniu szczególnej ciszy i o unikaniu światła – istoty zamieszkujące Park Gwiezdnego Nieba będą ci za to bardzo wdzięczne.

Anna Seemann-Majorek

pochodzi z Bytomia, jednego z najstarszych miast Górnego Śląska. Szkolona i doświadczona pedagożka, edukatorka i animatorka. Przywiązana do lokalnej historii i kultury. Kolekcjonuje wspomnienia, przygody i opowieści. Lubi patrzeć na świat oczami dziecka.

Zadanie publiczne jest współfinansowane
ze środków otrzymanych od Gminy Bytom